Nr. 39. Warszawa, dnia 18 (30) Września 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rb. 2 kop. 50. rocznie rb. 10

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

WOJNA!

W co się wierzyć nie chciało kilka miesięcy temu przez sam szacunek dla rozsądku ludzkiego, to obecnie staje się rzeczywistością: wojna Anglii z Transwalem wybucha. Działań wojennych jeszcze niema, ale są już pochody i stanowiska wojenne; jest nadewszystko po obu stronach rzucający ludźmi duch wojny. Anglia ściąga siły z Natalu i z Przylądka na pogranicze rzeczypospolitej boerskiej, wysyła wojska i zasoby z kraju macierzystego i z Indyj do kolonii południowo-afrykańskiej, powołuje linie i rezerwy, ma już naczelnego wodza, zawiera układy tajemne z Portugalią o zatokę Delagoa, Włochom zabrania ładować narzędzia i środki wojenne dla Transwalu. Gabinet angielski ulega dyktaturze żądzy gwałtu, wywieranej przez Chamberlaina i Salisburego. Opinia angielska tak już jest oczarowana widzeniem wielkiego, terytoryalnie jednolitego państwa kolonialnego w Afryce południowej, że lud londyński, przyszedłszy dla zaprotestowania przeciwko wojnie, rozchodzi się ze śpiewem „Rule Britania,“ a mówcy za umiarkowaniem, jeśli nie za sprawiedliwością, wracają do domów poostrzeliwani zgniłemi jabłkami: najwyższy wyraz niezadowolenia publicznego w Anglii.

I w Transwalu także wre i słusznie wre. Wojna jest tam nietylko sprawą dalszego życia dziejowego, ale sprawą samego etnologicznego i społecznego istnienia. Wszystko, co instynkt zachowawczy z człowieka ginącego wydobyć może, faluje teraz na wzburzonej powierzchni społeczeństwa boerskiego nietylko w samym Transwalu, ale i w pobratymczych, pokrewnych krainach Oranje i wśród zbiorowości holenderskiej Przylądka, do którego Anglia już w końcu XVIII w. żagiew wojenną zaniosła, aby ostatecznie w traktacie wiedeńskim zdobycz w chciwe pazury porwać. Do walki występuje jedna rasa, a raczej jedna odmiana rasy, przeciwko drugiej: wojna musi być i będzie rasową, plemienną — między Holendrami a Anglo-saksonami. Widowisko ideowo wspaniałe, ponurą swoją wspaniałością wielkie; prawdziwy tragizm: z jednej strony ogromne państwo, największe dzisiaj i najludniejsze na ziemi, ogarniające jednę czwartą mrowiska ludzkości; z drugiej zaledwie kilkakroć sto tysięcy drobiazgu ludzkiego, żyjącego przeważnie w zrzeszeniach gminnych, zamkniętego w sobie, niewdzierającego się na widownię międzynarodową — pracującego cicho na swej ziemi i kochającego tę ziemię gorąco a głęboko i wytrwale. Tam ślepa żądza wielkości; tu tylko pragnienie życia. Tam sięganie po dobro cudze; tu obrona własnego, walka o życie, o siebie.

Przy takiem naprężeniu stosunków rzeczą jest naturalną, nakazaną przez sam instynkt zachowawczy, że Boerowie nie uciekają od wojny, że nawet są jej bliżsi, niż Anglicy. Ich wódz naczelny, Joubert, staje już na pograniczu wschodnio-południowem od Natalu, skąd pierwsze potoki angielskie się wyleją, aby mieć korzyść lepszego stanowiska, a w potrzebie obronę poprowadzić metodą zaczepną — wkroczyć na terytoryum angielskie i rozbić zbierające się dopiero, a więc i liczebnie i strategicznie słabsze, siły śmiertelnego wroga. Zbieranie się Anglików na pograniczu słuszną wzbudza obawę w Transwalczykach, aby napastnicy nie wtargnęli do ich kraju w sile już większej, w tak gnębiących warunkach strategicznych, że w nich już złożony byłby los wojny, i tylko szczęście późniejsze i późniejsza dzielność mogłaby go odwrócić. Nie ten jest sprawcą wojny, kto materyalne działania jej rozpoczyna, ale ten, kto naciskiem swoim przedwojennym uczynił ją nieuchronną. Pierwsze kroki są już zadaniem strategii: jeśli obronić się można tylko natarciem — nie natrzeć jest głupotą lub niedołęstwem.

Transwal własnego wojska spodziewa się mieć do 30,000; 15,000 zobowiązała się dać mu rzeczpospolita Oranje, wiedząc dobrze, iż właściwie o nią tu chodzi, a nietylko o sam Transwal; na 7 lub 8 tysięcy obliczają w Pretoryi i w Bloemfontein liczbę ochotników Afrikanderów, patryotów holenderskich z pod panowania angielskiego na Przylądku. Pierwsza z trzech liczb jest wygórowaną. Białych z kobietami i dziećmi niema w rzeczypospolitej opadniętej przez Anglię więcej nad 250,000, z czego połowa jest angielską; murzynów będzie z 800,000 najwyżej, a z tego część tylko drobna, choćby już w milicyę wcielona, da się użyć do walki z wrogiem mającym dużo złota i wiele nieuczciwości. Przy wysiłkach największych zdolnego do boju i bitnego żołnierza razem może być 20 tysięcy, ruchawki kilka. Ogół sił bojowych rozwaga nakazuje ograniczyć liczbą 40,000. Anglicy chcą na widownię wystąpić z 60,000. A wyższość artyleryi jest jeszcze gorszą od tej przewagi liczebnej, którą rozsądnie przewidywać potrzeba. Boerowie wszakże mogą się spodziewać licznych ochotników z kraju macierzystego, z Europy wogóle, może nawet z Ameryki. Dziś wojnę mogłaby odwrócić

tylko dyplomacya: ale jej wygodniej jest przypatrywać się walce, a może nawet brać kubany od Anglii, niż wsadzać ręce w żar. Za co i po co? Z bohaterską garstką będzie każde serce czyste.

Tydzień polityczny. Sąd serbski skazał Knezewicza na karę śmierci, którą w dniu ogłszenia wyroku, d. 25 b. m. wykonano. Pasicz błaganiem płaczliwem wyjednał sobie łaskę: obaj królowie pozwolili mu osobiście podziękować. Człowiek-zwierzę zabił człowieka historycznego: samobójstwo często w dziejach. Kilkunastu skazano na ciężkie 20-letnie więzienie, kilku — na lżejsze. Dyplomacya nie zakłóciła biegu tej sprawiedliwości, która stanie się przysłowiową jako „serbska."

W Paryżu Berenger energicznie przeprowadza śledztwo i przygotowuje postępowanie główne, spiesząc się przed blizkim już terminem zwołania Izb.

W Wiedniu od 24 b. m. przesilenie gabinetowe. Cesarz powołał księcia Adolfa Liechtensteina, brata antisemity Aloizego do utworzenia nowego gabinetu. We środę powołany stał wobec znaku zapytania tak samo jak w sobotę. Odwołanie rozporządzeń językowych, konieczne dla Niemców, rozsrożyłoby Czechów; ogólne prawo o języku urzędowym państwa, prowincyi, okręgu i gminy nie przejdzie przez stronnictwa, a gdyby nawet przejść miało, Niemcy przed rozprawami nad niem zażądają uchylenia przepisów w r. z. wydanych, Gauczowskich. Najprędzej stanie gabinet urzędniczy. Cesarz wzywa różnych mężów do rady, ale mężowie są bez rady.

Ks. Bulgarski po raz pierwszy przyjęty będzie w Wiedniu urzędownie, jako panujący w Bulgaryi

Wojna Anglii z Transwalem wisi już na włosku.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LEKARZE FABRYCZNI.

Jednym z najmniej uregulowanych odłamów życia społecznego jest organizacya lekarska, związana ze wszystkiemi dziedzinami pracy i warunkami bytu mas ludności. Pojedyncze zjawiska tej sprawy donioslej rozpatrywaliśmy już niejednokrotnie. Obecnie na porządek dzienny wysuwa się chaotyczna i bardzo szwankująca organizacya pomocy lekarskiej dla ludności fabrycznej. Ciekawe w tej mierze dane zamieścił dr. Lazarewicz w *Zdrowiu*, z których właśnie widzimy tę rozmaitość warunków pomocy lekarskiej. Jak wiadomo, każda fabryka, zatrudniająca stu robotników, powinna utrzymywać lekarza, felczera, ambulatoryum i jedno w niem łóżko (w większych fabrykach jedno na każdą setkę robotników). W okręgu piotrkowskim taka pomoc lekarska jest obowiązująca gdy fabryka lub zakład przemysłowy zatrudnia najmniej 16 robotników. W Warszawie zaś panuje wielka różnorodność. Na 210 fabryk, zbadanych przez dr. Łazarewicza, w 60, liczących 10,000 robotników, korzystają z pomocy lekarskiej robotnicy wraz z rodzinami. W 92, liczących 12,000 robotników, mają do tego prawo tylko pracownicy. W 34 (1,167 robotników) lekarz przychodzi tylko na wezwanie i za wynagrodzeniem od wypadku. W 24 (540 robot.) niema wcale pomocy lekarskiej (w 5—felczerska).

Widzimy tedy, że pomoc jest nietylko różnorodna, lecz zarazem bardzo słaba lub niedostateczna. Jeszcze bardziej są wadliwe warunki pracy i wynagrodzenia lekarzy. Na ogół płaca jest bardzo skromna, w szczegółach zaś spostrzegamy wielką nieproporcyonalność, zarówno co do pracy jak i wynagrodzenia. Niektórzy lekarze pobierają po 1,000, 1,200, 1500 i 3,000 pensyi rocznej z jednej tylko fabryki. Większość atoli pobiera zaledwie po paręset rubli. W Warszawie 111 lekarzy obsługuje 180 fabryk, ale w jaki sposób? Jeden lekarz ma pod swoją opieką aż *czternaście* fabryk, drugi *sześć*, ośmiu po cztery, sześciu po trzy, inni po dwie, najwięcej zaś po jednej. Oczywiście w takich warunkach lekarze nie mogą podołać obowiązkom i są tylko firmą, więc radzą sobie jak mogą. Pewien lekarz bardzo wielkiej fabryki z pensyą 3,000 rb. rocznie, płaci od siebie 1,220 rb. rzeczywistemu wykonawcy obowiązków, ten zaś, nie mogąc podołać zajęciom, przybiera sobie pomocnika za 400 rb. rocznie.

Tak więc wytworzył się charakterystyczny system dzierżaw i poddzierżaw posad lekarskich w fabrykach. Jaki stąd rezultat dla zdrowia powszechnego, łatwo osądzić. Niepodobna, ażeby lekarz mający pod swoją opieką kilkanaście lub kilka dużych fabryk, mógł dokładnie badać chorych. Jeżeli bowiem dodamy jeszcze rodziny robotników, to otrzymamy przeciętnie 300—500 chorych dziennie, przypadających na jednego lekarza kilku fabryk. Gdyby każdy pacyent zabierał tylko jedną minutę, trzeba byłoby poświęcić 5—7 godzin dziennie na ich przyjęcie. Są jednak tacy chorzy, których zbadanie wymaga pięciu, dziesięciu, a nawet piętnastu minut, są wreszcie i tacy, których w domu trzeba odwiedzić. Ponieważ zaś każdy lekarz fabryczny ma jeszcze praktykę poboczną, więc oczywiście przy nadludzkim nawet wysiłku nie może być sumiennym w wykonywaniu swych obowiązków. Wreszcie taki nadmiar pracy przekracza granice uwagi ludzkiej. Pod koniec wizyt umysł musi się wyczerpać do tego stopnia, że lekarz może być skłonnym do omyłek lub w najlepszym razie do apatycznego traktowania chorych.

To jest przyczyna, dlaczego śród ogółu wytworzyła się pewna niechęć do porad u lekarzy płatnych przez instytucye i przedsiębiorstwa ekonomiczne; to jest także powód skarg i utyskiwań na nich. Taką opinię wyrobili sobie między innymi lekarze kolejowi. Opowiadali nam chorzy urzędnicy, jak są traktowani: — Panie doktorze,

---

Napoleon Rouba.

PAN RZĄDCA.

I.

Codzienna spowiedź gospodarska już dobiegała kresu.

Właśnie rządca, siedzący na fotelu, odrzucił ostatnią z kilkunastu ksiąg rachunkowych, które zapełniały biurko, i podpisał obowiązujący raport codzienny dla dziedzica.

— Wincenty!

We drzwiach stanął wyprostowany gracyalista dworski.

— Do pana! — krótko rozkazał rządca.

Starzec z zreumatyzmowanemi nogami ujął podaną kartkę papieru, podreptał chwilę w miejscu i z trudnością cofnął się za próg kancelaryi.

— Niechno pan pojutrze każe Wojciechowi zheblować ten próg zupełnie — zwrócił się rządca z uśmiechem do pisarza.

— Słucham pana — odparł ów, siedząc na brzeżku krzesła i do znudzenia mrugając ociężałemi powiekami.

Rządca powstał, dając tem znak do rozstania.

— Chciałem też pana dobrodzieja prosić — zapiszczał cicho, zmięty wiekiem i pracą pisarz, prostując się wobec zwierzchnika.

— Cóż takiego?

— Potrzebuję do miasta.

Dobrze, jedź pan Hrabiną i jak zwykle zabierz dla niej obrok.

— Hrabina, proszę pana, kuleje.

— Hm! prawdziwa arystokratka!—mruknął nieco zakłopotany rządca.

— Ja już sobie zgodziłem chłopa — spieszył dodać pisarz.

— Głupstwo! Weź pan tedy mojego karego z cugowej, ale łagodnie z nim poczynaj, gdyż rzadko chodzi w pojedynkę i zawsze ma ochotę grymasić

— Niech pan dobrodziej będzie spokojny! — zapewniał pisarz, uszczęśliwiony zgoła niezwykłym dowodem łaski.

Wtem dzwonek jęknął w przedpokoju, rozległy się szybkie kroki i zaraz potem dźwięczny głos za drzwiami.

— Czy można?

Proszę! — odpowiedział rządca, jednocześnie zwracając się do pisarza z życzliwem pożegnaniem.

— Dobranoc panu.

Do kancelaryi wpadł wytworny dziedzic z wyciągniętą dłonią, uśmiechniętą twarzą i skwapliwem pytaniem:

— Nie przeszkadzam panu?

— Ani trochę! Już skończyliśmy zajęcie i rozchodzimy się właśnie.

To mówiąc, uprzejmym gestem wskazywał wejście do sąsiedniego pokoju i odpowiadał ukłonem na kilkakrotną czołobitność pisarza, skierowaną ku połom żakiety dziedzica.

Weszli do pokoju jasno oświetlonego, który był mieszaniną elegancyi i prostoty, zamożności i zaniedbania. Snadź dwór zamożny dość życzliwie meblował ten skromny zakątek, pamiętając atoli, ażeby i siebie zbytnio nie skrzywdzić.

Więc śliczne, stare biurko mahoniowe obok białej szafki sosnowej, wspaniały fotel wolterowski obok pary wypłatanych krzesełek, dobrze zachowane, pradziadowskie łóżko olszowe z dywanikami w sąsiedztwie fajansowej miednicy i blaszanego dzbanka, kilka cennych, lecz pożółkłych sztychów angielskich wprost taniej, perkalowej zasłony przy łóżku. A na tem tle młody rządca rozrzucił niedbale sporo książek i pism, kilkanaście sztuk odzieży, istną kolekcyę papierośnic, szpicrut, różnorodnych narzędzi, uschłych roślin i kwiatów, próbki nasion i drobną monetę miedzianą.

Stary gracyalista zrazu usiłował jakoś pogodzić szacunek należny sprzętom dziedzica z niecierpliwością rządcy, lecz już od niejakiego czasu machnął ręką na wszystko. Na stole szumiał samowar, natarczywie przywołując gospodarza do wieczornego posiłku.

— Ależ pan jeszcze bez kolacyi? — troskał się uprzejmy dziedzic.

— Nie mi pan nie przeszkodzi, ułatwię się z tem szybko; może pan zechce przyjąć szklankę herbaty? — odparł uprzejmy gospodarz.

— Dziękuję — jadamy wieczorem wcześniej od pana. Zostaję, lecz pod warunkiem, że pan niezwłocznie zajmie się kolacyą po całodziennem umęczeniu.

jestem od kilku dni w stanie gorączkowym, mam silne kłocie w piersiach i kaszel. — Pokaż pan język! — mówi lekarz, nie wstając od stołu. A gdzie pan ma kłocie?.. Tam, wyżej? Aha, to od żołądka!" I daje receptę z odległości trzech kroków od pacyenta, który następnie po paru dniach, gdy się rozwinęła choroba poważna, musiał wezwać lekarza postronnego.

Może to są wypadki pojedyncze, wyjątkowe, bo niema takiej masy pracowników, stojących chociażby na najwyższym szczeblu umysłowym, moralnym i społecznym, śród których nie znalazłyby się jednostki, zasługujące na naganę. A może to właśnie był objaw tego zmęczenia i apatyi lekarza z nadmiaru pracy? Tak, czy inaczej — interesy zdrowia powszechnego cierpią na tem bardzo, więc należałoby stanowczo i gruntownie zmienić dotychczasowy system pomocy lekarskiej we wszelkich zakładach i przedsiębiorstwach, czy to fabrycznych, czy komunikacyjnych. Przedewszystkiem pożądane byłoby stworzenie jakiejś normy najwyższej, która określałaby możliwe granice natężenia pracy lekarza. Tym sposobem unormowałaby się odpowiednio liczba chorych, poszukujących pomocy u lekarzy płatnych przez zakłady i przedsiębiorstwa przemysłowe i zniknęłoby krzyczące i wysoce szkodliwe zjawisko — zagarnianie przez jednego lekarza kilku lub kilkunastu fabryk, a wytworzyłby się stosunek wręcz przeciwny: każda wielka fabryka powinna posiadać po kilku lekarzy, stosownie do liczby robotników. Jaka powinna być przeciętna suma chorych, przypadających na jednego lekarza, da się to zapewne dokładnie obliczyć z praktyki.

Potrzebny wszakże jest tu jeszcze jeden niezmiernie ważny warunek: ażeby lekarze nie byli wyzyskiwani przez przedsiębiorców. Fabrykant powinien cenić swojego lekarza przynajmniej tak, jak ceni swoje maszyny, które mu przynoszą olbrzymie dochody. Robotnicy — to także maszyny, na których się opiera produkcya fabryczna, a więc i wszystkie zyski fabrykantów i wogóle cały dobrobyt ekonomiczny. Ponieważ lekarz fabryczny czuwa nad całością i bezpieczeństwem tej żywej zbiorowej maszyny, a więc przyczynia się poniekąd do intensywności jej pracy na korzyść fabrykanta, więc wziąwszy pod uwagę tak ważne interesy czysto ekonomiczne, należałoby jakiś skromny procencik odłożyć na właściwszą, niż obecnie, organizacyę pomocy lekarskiej. Mianowicie każdy lekarz, na którego przypadałaby określona liczba robotników i ich rodzin, powinien otrzymać pensyę zupełnie zabezpieczającą jego byt materyalny, bez praktyki pobocznej. Wtedy zniknie i to obojętne lub powierzchowne traktowanie chorych.

Dr. Lazarewicz obliczył, iż w 116 fabrykach warszawskich udzielono w ciągu roku 66,853 porad i że byłoby ich znacznie więcej, przynajmniej 190,000, gdyby nietylko robotnik, ale i jego rodzina mogła skorzystać z porady lekarza fabrycznego i gdyby zgłaszanie się robotników do ambulatoryów prywatnych na mieście nie ustalało wyzysku, „pośrednio spełnianego na lekarzach pozafabrycznych." Naszem zdaniem, to szukanie porad w ambulatoryach prywatnych wynika właśnie z tej niechęci do lekarzy fabrycznych, traktujących apatycznie lub niedbale swoją klientelę, z nadmiaru pracy. Szukają oni pomocy nietylko w lecznicach prywatnych, ale niestety, u felczerów i nawet znachorów. Tym sposobem obecny system pomocy lekarskiej w fabrykach pośrednio przyczynia się do rozwoju tych niebezpiecznych dla zdrowia powszechnego działaczów, z którymi nasi lekarze oddawna toczą bezskuteczną walkę.

Jest jeszcze jedna tej całej sprawy strona nienormalna, którą należałoby również usunąć. Dość często naczelne posady lekarzy fabrycznych obejmują specyaliści, np. syfilidolodzy, lekarze od chorób usznych itd., podczas gdy właściwie na takie stanowiska powinni być powoływani terapeuci lub chirurdzy, a jeszcze lepiej — jedni i drudzy. Tak jak jest dzisiaj, lekarze naczelni są częstokroć zwyczajnymi urzędnikami, niemającymi nawet dokładnego wyobrażenia o stanie zdrowotnym ludności fabrycznej. Pracują za nich „zastępcy"-lekarze lub felczerzy, za skromną płacę, obarczeni nadmiarem pracy.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Program walki plemiennej, nakreślonej przez *National Ztg.* — Kilka faktów znamiennych. — Wydalenie redaktora *Pracy*. — Proces prasowy. — Zwycięztwo nauczyciela-kata. — Recydywiści.

Sprawa nienawiści rasowej nie daje spokoju Niemcom. Pobudza ona ich wyobraźnię do coraz nowych pomysłów, mających na celu zupełne zdławienie żywiołu polskiego. Wiele okrzyków i szczeknięć, jako powszednich, zanadto jednostajnych, przechodzi bez echa po za uwagą społeczeństwa. Niektóre wszakże, jako błyski walki plemiennej, jako znamię antycywilizacyjnej i antyludzkiej kultury niemieckiej, zasługują na zaznaczenie. Jedna z doradczyń hakatystów, *National Zeitung*, wystąpiła z nowymi pomysłami, rozsnutymi na gruncie ekonomicznym. Warto zapoznać się z treścią tego programu walki. Prasa niemiecka, zdaniem owego organu, nieobeznana dostatecznie ze stanem rzeczy na kresach wschodnich, ocenia wartość i zdolność urzędników najwyższych w tych prowincyach według dwu rubryk: „przyjaciół" i „nieprzyjaciół" Polaków. Pierwsi oczywiście muszą być potępieni, drudzy — poparci uznaniem. Jest to polityka błędna, jak utrzymuje autor. Kwestya polska jest dość zawiła, a jej rozpoznawanie powinno być oparte na prawach różniczkowania. Czas

---

Usiedli przy stole, niby dwaj dobrzy znajomi. Rządca sięgnął po bifsztyk, dziedzic zaś — po rozłożone pisma i dzienniki.

— Że to pan jednak ma czas i ochotę do tak obfitej lektury?

— Uhm! — odparł zapytany, wesoło się uśmiechając i chłonąc ustami ostatni kęs smacznego mięsa?

— Co widzę? Nawet i owoc zakazany przez naszego proboszcza — dodał zadowolony dziedzic, przerzucając świeżo rozcięte kartki: „Dziejów stosunku wiary do rozumu."

— I tak mię już mianują stale *farmazonem*, mimo, iż go poprawiam niewzruszenie, ażeby choć — framasonem — odparł z uśmiechem młodzian, nalewając sobie herbatę.

Ponieważ dziedzic nie zgodził się zająć wygodnego fotela, rządca teraz rozkoszował się jego oparciem i sięgając po papieros, rzucił grzecznie:

— Panu nie zrobi to przykrości?

— Tylko przyjemność — podchwycił dziedzic, spiesznie siadając w pobliżu otwartego okna.

— Czy pan zadowolony ze stołu?

— W zupełności.

— A z Wincentego? Ten zdaje się zaniedbywać w obowiązkach.

— Wystarcza mi w zupełności; zresztą sam jestem przyczyną tego bezładu, który musiał tu pana uderzyć — odparł rządca z uśmiechem.

— Kawalerska swoboda! Cóż to za miły okres życia!—wybuchnął ożywiony dziedzic.

Rządca uśmiechnął się nieco ironicznie, gdyż w tej chwili przypomniał sobie jeden z warunków umowy, zawartej przed kilku miesiącami, podług którego umowa ta miała trwać aż do... ożenienia się rządcy.

— Rzepak nam sypie obficie — rzekł po chwili.

— To dobrze! to dobrze!

— Z dziesięciu prętów skopanych kartofli na potrzeby czeladzi zebraliśmy trzy korce.

— To wybornie! Więc możemy się spodziewać ze dwa tysiące korcy na sprzedaż?

— Prawdopodobnie.

— Bezwarunkowo wymówię dla pana premię u kupca.

Rządca uśmiechnął się lekceważąco.

— Zawsze pan ten sam! Proszę pamiętać, że to wyniesie sto rubli.

— Czy tak? To zmienia postać rzeczy: pan kupiec tedy dostarczy mi upragnionego wydania wielkiej encyklopedyi.

— Aż tak drogo kosztuje?

— Może nawet nieco więcej.

Dziedzic trochę jakby zesztywniał.

— Jakże pan znajduje pisarza?

— Zasuszona mumia, ale ze znaczną rutyną gospodarczą; zresztą dość obowiązkowy i uczciwy.

— To właśnie wystarcza: inteligencyi od niego nie potrzebujemy, sprytu również, bo ten by go mógł zwrócić na naszą szkodę, nawet o uczciwość mniejsza, bo my się nie damy okradać — nie prawdaż panie?

— Być może — odparł rządca i zamilkł.

W tej chwili ponownie przypomniał sobie chwilę umowy przed kilku miesiącami.

Mało mu znany pan o arystokratycznym wyglądzie i manierach mówił wtedy z całą swobodą:

— Przychodzę pana zaangażować do moich Warklan. Dotąd płaciłem rządcom — kawalerom, bo żonatych nie trzymam — trzysta rubli pensyi, całe utrzymanie i premię wynoszącą około stu pięćdziesięciu rubli.

A on odparł na to z przedziwnym spokojem:

— Układ jest niemożebnym, gdyż moje wymagania są większe.

— Proszę je określić, ma pan za sobą wyższe wykształcenie i wychowanie.

— Cóż one warte dla pana? — spytał wtedy niemal z wyraźnym sarkazmem.

— Znać na panu nieobycie się w sprawach podobnej natury: pan to przecie winien podać swoje warunki.

— A więc żądam akurat dwa razy więcej, oprócz oczywiście utrzymania w ilości pojedynczej.

Dziedzic bez wahania podał arystokratyczną kończynę i silnie uścisnął dłoń rządcy.

— Jestem przekonany, że robię w tej chwili dobry interes.

A teraz rządca myślał właśnie o tem, ile z tej przewyżki wynagrodzenia było za wykształcenie a ile za wychowanie.

Nic nie wymyślił i... zesztywniał on teraz z kolei. Lecz mówić coś było jego obowiązkiem grzeczności:

wytwarza nieuniknione zmiany i obecnie w innem niż dawniej świetle całą sprawę polską przedstawia szermierzom niemieckim. Jest to przedewszystkiem sprawa oparta na podłożu ekonomicznem. Nieznany dawniej stan średni — mieszczaństwo polskie, stał się dziś przedstawicielem tradycyj narodowych. Jest to inteligencya polska, która ogarnia przedewszystkiem całe masy zarobkującej ludności miejskiej. Stan ten coraz bardziej wzmaga się na siłach, tworzy twierdze i okopy w środowiskach miejskich i za pomocą tych sił skupionych stara się zagarnąć kraj cały. W walce tej bardzo ważną rolę odgrywa duchowieństwo polskie.

Naturalnie wobec takich faktów nie zaprzeczonych i aż nadto wyraźnych walka dziennikarska posiada znaczenie podrzędne. „Dzienniki polskie co dzień urządzają kanonadę, wylewają skargi na jakiś niby ucisk żywiołu polskiego; ale wszystko to najbezczelniejsza i zarazem najzręczniejsza hypokryzya. Wszelkie narzekania w parlamencie i prasie są tylko środkiem do odwrócenia uwagi od rdzenia sprawy podścieliska ekonomicznego.“ Jeden tylko organ stronnictwa ludowego, *Orędownik* zasługuje na uznanie *National Ztg* z tego względu, że obrał godną pochwały drogę otwartą i wszystkie to niezliczone i nieustanne skargi Polaków usuwa na dalszy plan, na pierwszym zaś stawia rozwój ekonomiczny, po którym reszta przyjdzie sama przez się.

To wszystko właśnie powinno skłonić polityków do pozostawienia na uboczu przyjaciół lub nieprzyjaciół Polaków. „Żaden człowiek uczciwy i rozumny nie powinien żywić nienawiści do swoich bliźnich z powodu ich narodowości.“ Tem bardziej zaś takiemi uczuciami nie powinien się kierować człowiek, któremu powierzono zadanie urzędowe. A zatem wogóle zamiar prześladowania Polaków byłby krokiem bardzo nierozumnym. „Żądać jednak należy i w danym razie aby z *całą surowością* przeprowadzono tę zasadę, aby we wszystkich sprawach publicznych obowiązywała wyłącznie mowa niemiecka; aby stowarzyszenia wystrzegały się wszelkich dążności separatystycznych.“ W drodze jednak łaski *National Ztg* pozostawia Polakom prawo posługiwania się swoim własnym językiem, pozwala wyznawać im własną religię i rozwijać się ekonomicznie. Obok tej swobody jednocześnie zaleca środki krępujące ją zupełnie, doradza walkę na gruncie ekonomicznym, to właśnie, co dotychczas czynią hakatyści: „Nie trzeba na Wschodzie ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół Polaków, lecz takich mężów, którzy siłą własnej osobistości i inicyatywy zdołają obudzić życie niemieckie i rozwijać kulturę niemiecką.“

Cały ten program właściwie nic w sobie nie ma nowego: ale główną jego osobliwością jest ton obłudny, przechodzący w cynizm, jakim się mogą odznaczać tylko ludzie hołdujący przemocy i korzystający z jej przywilejów: Poszanowaniem narodowości polskiej ma być wydarcie jej języka i podstaw bytu wszelkimi możliwymi środkami. To główna treść programu *National Ztg*, owinięta w zbutwiałą bawełnę liberalizmu. Liczne, różnorodne stowarzyszenia i instytucye w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech Zachodnich, założone wyłącznie z inicyatywy i funduszów polskich, ogromnie się przyczyniły do podniesienia dobrobytu różnych warstw ludności polskiej, zwłaszcza włościan i rzemieślników. Otóż wszystkie te ogniska pracy i przedsiębiorczości posługują się językiem polskim, który według programu *National Ztg* powinien być stanowczo usunięty. Właściwie to prześladowanie językowe jest na porządku dziennym od dawna, upozorowane zogniskowaniem polityki polskiej w owych instytucyach. Dotąd wszakże nie było takiego haczyka nielegalnego, do którego można byłoby się przyczepić. Otóż *National Ztg* podsuwa myśl stworzenia praw wyjątkowych, które dadzą możność traktowania Polaków wraz z ich instytucyami, jako przestępców politycznych. Na podstawie tych praw język polski w instytucyach wszelakich musi być uznany za rzecz nielegalną, a więc i same instytucye staną się nielegalnemi i muszą być rozwiązane. To się nazywa obok poszanowania narodowości — pozostawienie swobody rozwoju ekonomicznego!

Jeden znamienny fakt opowiedzmy słowami *Dziennika Poznańskiego*:

„Otrzymujemy wiadomość, że p. dr. K. Rakowski, naczelny redaktor *Pracy*, jako obcokrajowy, został wydalony z Poznania. Dr. R. nie naraził się niczem, *Pracy* za jego redakcyi nie wytoczono ani jednego procesu. Pojąć zaiste trudno, czemu się stał tak dalece niewygodnym (lastig), że go wydalić postanowiono; chyba tem, że jest Polakiem, a poddanym innego państwa. Widzimy więc, że represya, za p. Jagowa tak naturalna i dziś nie ustaje. My zaś nietylko ze względu na wymagania koleżeństwa, ale i tej okoliczności, że dr. R. objawiał dla nas często bezwzględną nieprzyjaźń, tem więcej ubolewamy nad losem, który go spotkał i protestujemy przeciwko rugowaniu pracowitego człowieka z zajęcia, stanowiska i chleba. Takie postępowanie umysłów polskich nie uspokoi, ani „dla kanału“ ich nie przejedna.“

Co do nieskazitelności *Pracy* w opinii prześladowców, myli się *Dziennik Poznański*. Niema przecież takiego pisma, w któremby nie dopatrzono czynów karygodnych. Otóż i *Pracę* oskarżono o zohydzanie instytucyj państwowych i obrazę komisyi kolonizacyjnej. Wogóle kary na pisma i ich redaktorów spadają nieustannie. Redaktora *Wielkopolaninina*, p. Szmyta, skazano na 50 marek kary lub pięć dni więzienia, a ks. proboszcza Peinkego na 200 marek lub dwadzieścia dni więzienia za artykuł p. t. „Kary cielesne w szkole“ (autorem był ks. Peinke). Chodziło tu o obrazę nauczyciela St. Wiśniewskiego w Tomicach. W procesie tym występowało aż 29 świadków, w tej liczbie dzieci szkolne, inspektor powiatowy szkolny Casper, komisarz obwodowy i dr. Górski ze Stęszewa (rzeczoznawca). Ks. Peinke niewahał się w obliczu sądu dowodzić, że nauczyciel niemiłosiernie katuje dzieci, za co ksiądz go niejednokrotnie strofował na skutek ciągłych skarg parafian. Nauczyciel jednak lekceważył wszelkie napomnienia i skargi, ufając w opiekę wyższych protektorów. Opieka ta i bezkarność czynów nauczyciela były niewątpliwie, ze względu, że ową surowość katowską stosował przy nauce języka niemieckiego.

Rozprawa sądowa (trwająca od południa do godz 1½ w nocy) wykazała dowodnie, że nauczyciel nadużywa władzy karania, pragnąc wykazać swą gorliwość w nauczaniu języka niemieckiego, pomimo że sam

---

— Uwolniłem pisarza do miasta na dzień jutrzejszy.

— Podziwiam pana: dobrowolnie skazał się pan na konieczność bytności przy południowym i wieczornym obrządku — odparł dziedzic tonem wyraźnie suchym.

— Nic mi to nie stanowi, gdyż cały dzień jutrzejszy zamierzam spędzić u siebie.

Przez chwilę zagościło między nimi jakieś dotąd nieznane widmo chłodu.

Łatwiej opanował się dziedzic i mówił spokojnie po pewnej przerwie:

— Lecz ja tu zabiegłem do pana w sprawie nieco ważniejszej, o której, jak mniemam, pan jeszcze nic nie wie.

— O co chodzi?

— Kradną nas najokropniej i kradną w dzień biały.

— Niepodobna!

— Ależ tak jest! Przed samym wieczorem dojrzałem z tarasu trzy baby, grabiące naszą mieszankę za ogrodami.

— Fatalność! Dziś właśnie chciałem ją zabrać stamtąd dla koni, lecz nie mogłem z uwagi na zupełną jej surowość i jutrzejszy dzień świąteczny.

— Ależ naturalnie! Ja prawie rad jestem, że mamy sposobność przykładnego ukarania tych drobnych kradzieży, które są naszą plagą.

— Więc możebyśmy znieśli granicę między utrzymaniem dworskiej i czeladnej obory, ażeby raz na zawsze położyć kres podobnym nadużyciom?— skwapliwie podchwycił rządca.

— Teraz — w żadnym razie: gotowiby pomyśleć, że robimy dla nich ustępstwo, a to nigdy nie powinno mieć miejsca.

— Więc cóż zrobimy z temi nieznanemi winowajczyniami?

— Owszem, już je znamy: są to: Kowalczanka, Barteczkowa i Franka, komornica.

— Niedołęstwo, głupota i nędza — odpowiedział rządca, niby echo.

— Tak lub inaczej, muszą być przykładnie ukarane; co pan o tem sądzi?

— Wzięły owej mieszanki dla krów do doju, nic innego; a więc pięć kopiejek lub mniej nawet, niechże tedy zapłacą po 50 kop., czyli dziesięć razy więcej. Strącę tę kwotę każdej z pensyi lub zarobku za najem, a przeznaczenie całej sumy pan zechce określić.

— Na ten raz pozwolę sobie mieć inne zdanie — odparł sucho dziedzic. Podamy na nie skargę do sądu i ten je ukarze.

— Czy ten trzeci w naszych stosunkach nie podkopie naszej powagi? — zrobił uwagę rządca...

— On ją raczej wzmocnić powinien.

— Bardzo wątpię; cóż tedy ja mam do zrobienia w tej sprawie?

— Niech pan jutro prześle skargę do sądu — świadkiem będzie pachciarz.

— To niemożebne: potrzebuję rejentalnego pełnomocnictwa.

— Sędzia, sąsiad, uwzględni mój list prywatny.

— Pan daruje, ja go nie znam i mogę stanąć tylko na mocy aktu urzędowego.

— W takim razie prześlę skargę od siebie przez pisarza.

— Tak będzie najlepiej.

I znowu przez chwilę zapanowało przykre milczenie.

— Cóż słychać w pismach?—spytał dziedzic od niechcenia.

— Ślicznie, składki płyną niezwykle szerokiem łożyskiem, wczoraj właśnie odszukałem nasze Warklany z wykazem aż sześciu nazwisk krom pana i proboszcza.

— Zamiast jednego — własnego, co byłoby najsłuszniejsze.

— Ani trochę, nie kosztuje mię to nic oprócz paru groszy za przesyłkę.

— Możemy od dziś wszystkie kary polne i leśne obracać na ten cel.

— To mi się nie wydaje właściwe: na taki pomnik powinna się składać tylko dobra wola i świadomy zapał.

— Prawda! — podchwycił łaskawie dziedzic.

Po chwili zerwał się spiesznie i podał dłoń do uścisku:

— Nie chcę pana pozbawiać drogich chwil wypoczynku.

— Domyślny chłop z ciebie! — rzekł sobie w duchu rządca, świecąc mu do przedpokoju, kędy Wincenty chrapał w najlepsze, wsparty na ławie.

— Jak on się zestarzał!—dziwił się zawsze łaskawy dziedzic.

(C. d. n.)

jest Polakiem. Ale w opinii sądu „czyny te zeszły na plan ostatni. Tendencyjni stróże sprawiedliwości położyli nacisk na to, że krytyka działalności nauczyciela była wyrazem pogardy dla całego stanu nauczycielskiego. Żeby jednak mieć powód do wymierzenia surowej kary, prokurator usiłował nadać procesowi znaczenie polityczne i wnosił dla ks. Pernkego 500, a dla p. Szmyta 100 marek kary. Tak więc zamiast rzeczywistego zbrodniarza skazano jego oskarżycieli społecznych!

Proces ten dał sposobność pismom niemieckim do utyskiwań na prześladowanie „biednych" nauczycieli „ze strony krnąbrnych dzieciaków polskich i ich rodziców." Jako przykład podają następujące zajście: W Kiszkowie nauczyciel starszy kazał pewnemu chłopcu, Polakowi, nauczyć się wiersza, wysławiającego Bismarcka. Ojciec mu jednak nie pozwolił na to, zresztą i uczeń wyraził swój wstręt do wiersza i jego bohatera. Cóż dziwnego, że Polacy, „pałając nienawiścią do bohaterów niemieckich," lekceważą nauczycieli, przejętych ideą germanizacyjną!

Jeden fakt spełnił się już według myśli *National Ztg*: W Poznaniu naczelny prezes prowincyi, baron Willamowitz-Moellendorf (wątpliwy Niemiec), ustąpił ze stanowiska. Umiał on utrzymać tę trudną równowagę, która mu pozwalała zjednywać sympatyę zarówno Niemców, jak i Polaków, a raczej nie narażać sobie ani jednych, ani drugich. Słowem, był urzędnikiem, pozbawionym fanatyzmu plemiennego. I to coś znaczy. Oczywiście taki złoty środek był nie w smak hakatystom, którzy piorunowali na niego, aż w końcu zbrzydło mu to wszystko, więc korzystając z niezależnego stanowiska materyalnego, porzucił urzędowanie i dziś spokojnie zażywa wywczasu.

Pozbyli się tedy hakatyści jednej przeszkody, chociaż prawie biernej i tem samem święcą pewnego rodzaju zwycięztwo, które pozwoli im skuteczniej dążyć do celów. W chwili obecnej jednym z tych celów jest skrępowanie włościan, ludności bezrolnej i rzemieślniczej.

Na zakończenie uważamy za konieczne poddać pod pręgierz opinii publicznej dzielnych „obywateli kraju," którzy stworzyli proceder ze sprzedaży majątków komisyi kolonizacyjnej. Nazywają ich bardzo słusznie recydywistami, których oczywiście społeczeństwo powinno się wyprzeć. Sprzedawszy wieś kolonizacyi, kupują inną za resztki funduszów, ażeby potem sprzedać ją znowu w te same ręce. Tym sposobem są nietylko zaprzańcami, lecz sługami naszych prześladowców. Niedawno komisya kolonizacyjna nabyła od takiego pana Polaka, Chrzanowskiego dobra rycerskie, Ostrowo, pod Janowem w W. Ks. Poznańskiem. Podobnie mają również w ręce niemieckie przejść majątki polskie: Giecz w Średzkiem i Czarnotul w Mogilnickiem.

ct.

Z GALICYI.

(Dokończenie).

Na tle bardzo niewesołych stosunków wewnętrznych i państwowych rozwija się i nasze szare, codzienne życie. Przenikają je nawskroś dwie zasady, będące górującym czynnikiem i sprężyną wszelkiej działalności państwowej w Austryi: połowiczność i stanowość, czyli tradycyjne przywileje stanu szlacheckiego, które na każdem polu sprawy publicznej biorą górę nad rzeczywistą zasługą, wykształceniem i rozumem. Po nad tem wszystkiem unosi się duch suchego biurokratyzmu, będącego na usługach rządu, a pozbawionego zupełnie prawie ducha obywatelskiego. Doprawdy, obawiać się należy o przyszłość tego nieszczęsnego kraiku, jeżeli jakieś nadzwyczajne wypadki nie wyrwą nas z pętów tamującego wszelki rozwój społeczny konserwatyzmu. Idąc na pasku wiedeńskich „befelów," boimy się stanąć na własnym gruncie tam nawet, gdzie nam stanąć wolno i należy. Na czoło i kierownictwo spraw krajowych wysuwają się ludzie niewdrożeni do tego, niezupełnie czyści i niezależni, ale powolne narzędzia rządu wiedeńskiego lub znani z giętkości przekonań, uległego niedołęztwa, brawury, niegardzący nawet szantażem, zasłoniętym powagą nietykalności rządu, albo jakiemiś zasługami — nie wiadomo dla kogo. Przekonaliśmy się teraz, ile byli warci tacy dyrektorowie banku, jak Marchwicki, którzy się ciągle kręcili przed oczami dobrotliwego cesarza Franciszka i w różowem świetle przedstawiali istniejące stosunki. A przecież za takiemi figurami stali Badeniowie, Sapiehowie i mnóstwo gotowych do usług pachołków.

Powtórzył się niedawno coroczny dramat, odegrany na tle naszych stosunków szkolnych. Mam tu na myśli seminarya nauczycielskie żeńskie i egzamina nauczycielskie. Doprawdy, wierzyć się nie chce, że *tak* się dzieje, a jednak dzieje się i co gorsza, Rada szkolna i sejm nie na to poradzić nie mogą, czy nie chcą. Ażeby zrozumieć treść tego dramatu, trzeba sobie przypomnieć, że w Galicyi znajdujemy około 70% analfabetów, a przeszło trzecia część gmin wiejskich nie posiada szkół i nauczycieli, pomimo że wyraz *oświata* stał się hasłem, będącem na ustach wszystkich. Gdy przerażająca ilość analfabetów czyni z Galicyi, szczególnie wschodniej, najbardziej zacofany kraj w Europie, bo tylko Hiszpanii, gdzie także z powodu wielkiej ilości „grandów" niema komu uczyć się i pracować, ustępuje palmę pierwszeństwa — my, zamiast na szkoły i nauczycieli, wydajemy nieprodukcyjnie pieniądze na takie liche i bezużyteczne instytucye, jak Rady powiatowe, bez inicyatywy, bez władzy, bez powagi. W dzisiejszym swoim składzie i charakterze one nie mogą być nawet użytecznemi. Ale pozostawmy je tym razem na stronie. Dla wypełnienia brakujących sił nauczycielskich istnieją seminarya żeńskie — bo o tych tylko pragnę słów kilka powiedzieć — w Krakowie, Przemyślu i Lwowie. Otóż w Przemyślu w tym celu zapisało się 130 kandydatek, a we Lwowie 160. Z tej liczby przyjęto, czyli zakwalifikowano do stanu nauczycielskiego w Przemyślu 60, we Lwowie 40, a reszta? Resztę trzeba było „odpalić" z powodu „braku miejsca." Doskonała recepta biurokratyczna, która pozwala obejść się bez szkół, bez nauczycieli, a kształci równocześnie — analfabetów. Jest to zastosowanie tak zwanego systemu oszczędnościowego. Któż to są te „odpalone" kandydatki? Rekrutują się one zwykle z bardzo niezamożnej sfery, śród panienek, które nieraz walczą z niedostatkiem długie lata, ażeby sobie zapewnić skromne utrzymanie na nauczycielskim chlebie. Jakaż im droga pozostaje po „odpaleniu"? Albo szukać potrzeba innego zajęcia, a więc stracić kilka lat życia, poświęconych przygotowaniu się do stanu nauczycielskiego, albo próbować dalej szczęścia — i znowu czas, zdrowie i siły marnować.

Od egzaminów przejdźmy do prezydenta miasta Lwowa, p. Małachowskiego. W jednej z poprzednich korespondencyj pisałem o zaprotestowaniu dr. Piętaka przeciwko wyborowi Marchwickiego do Rady miejskiej. Marchwicki został — nie miał odwagi zrzec się wyboru. Wybór Małachowskiego na prezydenta także śród niewielkiej garstki czystych i uczciwych ludzi wywołał niezadowolenie. Chcianoby już skończyć z rządami kliki i jej satelitów. Małachowski nie cieszy się sympatyą; jest próżny, lubi bawić się w pana i protektora, a ma za sobą nieszczęsny urząd syndyka kasy oszczędności za panowania Zimy. Zima już życiem przypłacił zbyt daleko posuniętą swoją samowolę, a syndyk, którego obowiązkiem było pilnować prawnej strony stosunku dyrekcyi z klientami, dotychczas uwija się jeszcze. Nie wchodzę w to, czy i o ile winien, bo nie moim, ale prokuratoryi obowiązkiem jest smutną tę sprawę zbadać, dotychczas jednak krążą ciągle uporczywe pogłoski, bardzo nieprzychylne dla ex syndyka, ale nikt w obronie jego nie staje. Spadają na niego nawet zaszczyty — bardzo na wątłe barki ciężkie, jak prezydentura miasta. Jeden z nowych radnych miał odwagę oświadczyć publicznie, że w takim składzie rady, jak obecna, pracować nie myśli i — zrzekł się godności. Słowem, wszędzie występują jakieś ukryte żale, niezadowolenia, padają wyrazy niedokończone, niedopowiedziane. Wszystko to wskazuje na pewno wrzenie głęboko pod powierzchnią, skąd tu i owdzie kilka ostrych słów wybuchnie. Niezadowolenie z wyboru Małachowskiego objawia się uporczywą pogłoską, że nawet rząd wiedeński, zwykle ochjętny na wszelką zgniliznę w kraju, nie chce zatwierdzić tego wyboru, a wybrany prezydent gwałtem chce tej godności. Jeździł teraz do Wiednia: jedni powiadają, a nawet piszą, że w interesie miasta, a drudzy otwarcie mówią, że we własnym. Dobrze jednak byłoby, ażeby p. Małachowski uwolnił Lwów od zajmowania się nim i prowadził dalej — tylko kancelaryę adwokacką. W ciągu ubiegłego trzechlecia zdał bardzo niedobrze egzamin ze swego urzędu. Pokazało się, że jest wcale nietęgim administratorem, a już co do buchhalteryi, to się na niej wcale nie zna.

Cho.

Ze Stanów Zjednoczonych.

Sierpień.

Prądy samozachowawcze wychodźtwa. — Seminaryum nauczycielskie. — Sejm Związku i Zjednoczenia. — Zjazd dziennikarzy i darmoczytalscy. — Ks. W. Barzyński.

Wychodźtwo polskie w Stanach Zjednoczonych znajduje się obecnie na przełomie. Dopływ sił świeżych zmniejszył się znacznie i stanęliśmy już oko w oko przed zagadnieniem: czy fale amerykanizmu pochłoną nas po przelotnem tylko istnieniu, czy też zdołamy się ugruntować i utrzymać na powierzchni? Rozumowanie optymistów nawet wskazuje nam śmierć w otaczającym żywiole: ale życie rwie się do wysiłków wbrew rozumowaniu.

Dwa szczególnie prądy samozachowawcze dają się spostrzegać. Jeden dąży do odosobnienia żywiołu polskiego i wpływem swym stara się niejako zabalsamować rdzeń narodowościowy. Są to usiłowania księży, którzy zbijają ludność polską w łamy odporne na działanie otoczenia, a w polskich szkołach parafialnych utrwalają miedzę graniczną między imigracyą a ludnością miejscową.

Drugi prąd stanowią samodzielne zabiegi ludzi, którzy torują sobie drogę w handlu, przemyśle lub dziennikarstwie tylko dzięki nagromadzonym w parafiach masom ludności polskiej. Nie mogliby oni wytrzymać współzawodnictwa z Amerykanami, gdyby zapora językowa nie stała na przeszkodzie tym ostatnim.

Przedsiębiorcze jednostki tego kierunku wchodzą w politykę amerykańską, wywierają wpływ na urządzenia szkolne, zdobywają przystęp do bibliotek publicznych dla polskich pism i książek, wreszcie na podstawie dobrobytu tworzą kółka inteligen-

cyi, głoszące obok ideałów amerykańskich inne sobie właściwe.

Jest to wdzieranie się duchowości polskiej w formy życia otaczającego, duchowości, która nie może stracić odrębnego zabarwienia, póki za podłoże służy jej ludność rdzennie polska. Na dole warunkiem zachowania narodowości jest wierność dla księży, na wyższych zaś stopniach życia społecznego bodźcem ku temu samemu jest ambicya rasowa.

Początkowa historya wychodźctwa była pod przeważnym wpływem pierwszego czynnika, lecz od drugiego zależy przedewszystkiem dalszy rozwój emigracyi i rola jej w życiu ogólno-polskiem.

Jesteśmy w epoce, gdzie tylko energiczny rozwój może zapewnić godniejszą przyszłość; sam zastój byłby już dla nas wyrokiem rozkładu. Są liczne tego oznaki.

Język polski, tak zazdrośnie strzeżony w szkołach parafialnych, rozpada się w strzępy pod bezlitosnymi razami ulicznej angielszczyzny i tylko wyższy stopień oświaty może go uratować od ostatecznej zagłady.

Polacy, jako obywatele Stanów Zjednoczonych, przedstawiają czerń, której się rzuca na przynętę grube pochlebstwa, brudne oszczerstwa i najpłytsze argumenty; podczas gdy przywódcy dają się prowadzić na pasku obietnic. Takie niewyrobienie trzyma wychodźctwo polskie na smutnem stanowisku kopeinszka politycznego. Wreszcie ciemnota ludu uderzyła w sam kościół mściwą falą. Ludność, podległa bezkrytycznie swym proboszczom, dała się opodatkować nadmiernie, a gdy ciężar okazał się nad siły, nie znalazła zadośćuczynienia u obcej narodowościowo wyższej hierarchii kościelnej. Nastąpił bunt gwałtowny i równie ślepy, jak pierwej była uległość. Potworzyły się parafie niezależne od biskupów amerykańskich i dziś już posiadają dwóch własnych, wyświęconych krytymi środkami. Nie posunęło to jednak naprzód sprawy biskupstwa polskiego w Stanach Zjednoczonych, które przecież powinno być wynikiem liczebnej siły katolików Polaków, stanowiących siódmą część ogółu tego wyznania. Przeciwnie, dało nowy powód do rozbicia się obozu klerykalnego, podczas gdy chyba tylko powaga całego zjednoczonego wychodźctwa może zrobić tak poważny wyłom w hierarchii duchownej na rzecz żywiołu polskiego. Równolegle powaga duchowieństwa maleje. Większe stowarzyszenia kościelne, opierające się na pomocy w razie choroby lub śmierci, upadają, a sfanatyzowane duchowieństwo, żeby szkodzić związkowi liberalnemu, pcha swych wiernych do katolickich międzynarodowych stowarzyszeń asekuracyjnych. Przytem prasa klerykalna oszukuje siebie i ogół, że takie zetknięcie się nie pociągnie za sobą wynarodowienia Polaków, chociaż chodzą już pogłoski, że w organizacyi „Foresterów," do której należy dużo dworów polskich, wprowadzony ma być język polski jako urzędowy dla wszystkich grup narodowościowych.

Pod względem ekonomicznym dotychczas potrafiliśmy się stać narodem kramarzy na podścielisku niefachowego robotnika. Pochwalić się możemy najwyżej paru browarzami i paru księgarzami, którzy wypłynęli na wody większych obrotów pieniężnych. Mamy dużo aptek, dużo sklepów korzennych i łokciowych, ale nie mamy przedsiębiorstw hurtownych, a najwyżej parę małoznaczących domów komisowych. Mamy agentów wymieniających i wysyłających pieniądze, ale nie mamy bankierów, bo trudno za takich uważać kilku osobników, którym lud znosił pieniądze z ufnością, a spotkał się z brutalnem szalbierstwem lub karygodną niezdarnością. Mamy drobny przemysł rzemieślniczy, małe fabryczki pracujące najtańszym robotnikiem, ale nie mamy ani jednej fabryki, a właśnie rola wychodźctwa zależy wiele od tych ekonomicznie wybitniejszych stanowisk.

Nie możemy, niestety, narzekać na wybujałość marzycielskich porywów — nie one to trzymają nas w obrębie abecadła handlowego, lecz niski poziom umysłowy i wzajemna nieufność.

Rozłam wychodźctwa na partye, toczące zaciętą walkę na wszystkich polach, przeszkadza nieraz zdolniejszym jednostkom do ekonomicznego wybicia się. Od ambicyi narodowej można oczekiwać, że stanie się bodźcem dla słabych, a balsamem na jątrzące się rany niezgody.

Również mało wyzyskanem, a nadzwyczaj wdzięcznem polem dla samozachowawczych instynktów wychodźctwa są stanowiska zawodowe w górnictwie lub wielkich fabrykach amerykańskich, w szkolnictwie i na tych stopniach służby publicznej, gdzie egzamina są warunkiem przyjęcia.

Mówiliśmy już o inteligencyi zależnej, na której czele stoją dziennikarze i doktorzy; teraz zwracamy uwagę na korzyści inteligencyi finansowo od żywiołu polskiego niezawisłej, a która stanowiłaby bezstronny balast we wszelkiej pracy społecznej wychodźctwa. Dotychczas placówki te świecą prawie zupełnie pustkami. W Chicago jest zaledwie kilka jednostek, które poszły drogą wyższego wykształcenia technicznego. Drugie tyle jest rozrzuconych po całym kraju, ale bez związku z ludnością polską. W szkolnictwie położenie jest jeszcze bardziej opłakane. Ilość dzieci polskich, uczęszczających do niższych szkół publicznych wzrasta z każdym rokiem, a nauczycielek Polek lub nauczycieli mamy tylko czterech i nie wszyscy są w zetknięciu z ludnością polską, podczas gdy Czesi w jednem Cleveland posiadają kilkanaście nauczycielek. A przecież jest to zawód dobrze płatny i mógłby dać oparcie paru dziesiątkom kobiet polskich.

W służbie cywilnej oswoiliśmy się tylko ze stanowiskiem listonosza lub policyanta, choć i tych procent między nami jest minimalny: urzędnik pocztowy zaś lub sanitarny jest wprost unikatem. Równocześnie w każdej prawie kolonii mamy jednostki inteligentne a nieustalone, które w pogoni za łatwym sposobem zarobkowania rzucają się do agentur podejrzanej wartości, do dziennikarstwa tandetnego, idą z zaparciem się przekonań na usługę klerykalizmu, chronią się wreszcie w sutanny księży prawowiernych i niezależnych, wytwarzając nader niezdrową atmosferę frymarki umysłowej. I tu w znacznej części winna jest partyjność, która nie pozwala nikomu liczyć na jednolite poparcie całego zaludnienia polskiego danej miejscowości. Częścią też tkwimy jeszcze w owych czasach sielskiej mądrości, gdy przybywającemu inteligentowi powiadano, żeby szedł z łopatą pracować na ulicy — bo wszyscy tak zaczynali; a już z pewnością bardzo nam daleko do błogiej chwili, gdy wykształcony przybysz znajdzie na wychodźctwie bezwarunkowe poparcie i rozumną radę. Zresztą może ta zorza zabłyśnie prędzej, niż się zdaje pesymistom dotychczasowych stosunków, bo stanowczo dążeniem wychodźctwa w ostatnich latach jest oświata i wyższa nauka. Sfery wpływowe czują coraz wyraźniej, że brak nam inteligencyi w masach i w jednostkach.

To też sprawa podniesienia szkolnictwa przez założenie seminaryum nauczycielskiego nie schodzi z łam naszych pism. Ale u nas są projekty i projekty. Niektóre zaczynają się i kończą w obrębie jednego stronnictwa i te bywają szybko unicestwiane. Inne wychodzą z łona jednej partyi, lecz potrzebują poparcia drugiej. Takim projektom ością w gardle stoi urażona ambicya mniej pomysłowej strony, takim będzie zapewnie los owego seminaryum. A oto już *Kuryer Polski* z Milwauka Wis. robi bardzo uzasadnione zapytanie: „Co poczniemy, jeżeli księża nie zechcą przyjmować nauczycieli przez nas opatentowanych?"

Zresztą nie chodzi tu o patent związkowy, bo projektowane seminaryum ma powstać ze składek całego wychodźctwa i zostawać pod dyrekcyą świeckiego ciała, wybranego przez całą emigracyę; ale sprawa się opiera o ważną ideę poddania szkolnictwa polskiego w Stanach Zjednoczonych pod zwierzchność świecką i musi spotkać opór w duchowieństwie, które dotychczas kieruje się tylko względami swej przewagi na emigracyi.

Prasa klerykalna mówi już o stworzeniu takiego seminaryum przy jednej z polskich szkół wyższych, prowadzonych przez księży.

Tegoż samego dnia, co sejm związkowy, odbędzie się w Buffalo N. I. zjazd drugiej największej organizacyi polskiej Zjednoczenia Katolickiego.

Reprezentuje ono skrajną prawicę, ale zarazem wielkość chylącą się do upadku. Jest to pierwszy zjazd od śmierci założyciela tej organizacyi i kierownika polityki klerykalnej, ks. W. Barzyńskiego. Z ciekawością śledzić będziemy wytyczne, jakie sobie postawi pod kierunkiem nowych wodzów. Dotychczasowa polityka podporządkowywania wszystkiego powadze kościoła, a nawet pojedynczych proboszczów, powinnaby ustąpić prądowi bardziej obywatelskiemu.

Pisma nasze znowu podnoszą myśl zjazdu dziennikarzy. Dotychczasowe dwa, złożone z samych redaktorów, były tak jałowe, jak ogórkowe czasy, do których wypełnienia posłużyły. Miejmy nadzieję, że na trzeci przybędą i sami wydawcy, bez których zgody, jak wiadomo, poglądy redaktorów nie mają obiegowej wartości.

W tej sferze najszybszego załatwienia wymaga sprawa „darmoczytalskich." Wyraz ten został na prędce ukuty przez energicznych wydawców, którzy pod jego wezwaniem ogłaszają całe listy osób odbierających gazetę, lecz za nią niepłacących. Zbiorowe wystąpienie wydawców może złemu zaradzić.

„Darmoczytalscy" są wynikiem systemu, w jaki gazety zdobywają sobie abonentów: posyłane bywają na kredyt, a obowiązek ściągania należności spoczywa na agencie. Często sprytny czytelnik bierze górę nad agentem, nie płaci i stanowczo nie odmawia. *Kuryer Polski*, istniejący od kilkunastu lat, posiada 2,000 d. na sumieniu swych darmoczytalskich, a niektóre osobniki są obciążone grzechem okradania wydawców do wysokości 20 dolarów.

Trzy miesiące upłynęło od śmierci ks. Wincentego M. Barzyńskiego prowincyała oo. Zmartwychwstańców i proboszcza kościoła św. Stanisława Kostki w Chicago; wspomnienia pośmiertne już przebrzmiały, a parę wyjątków z nich scharakteryzuje postać, którą sąd jednogłośny nazwał jedną z najzdolniejszych na wychodźctwie.

O jego energii i wpływie poświadczy najlepiej rozwój parafii, której przewodniczył przez lat dwadzieścia kilka. „Zastał on 500 familij, kościołek drewniany, majątek kościelny dochodzący 10,000. Dziś parafia liczy 30,000 dusz, posiada 50 bractw z 12,000 członków, chór z 300 osób, szkołę, do której uczęszcza 3,000 dzieci, a w której wykłada 40 sióstr zakonnych, 7 nauczycieli świeckich i 5 księży; kolegium liczące 100 studentów, dom sierot, dom starców i kalek i 4 biblioteki. Do tego dodać należy wpływanie na wszystkie sprawy wychodźctwa za pomocą pism i organizacyi Zjednoczenia.

Oto jak charakteryzuje prywatnego człowieka *Kuryer Polski*: „W obejściu grzeczny, dowcipny, w sprawach doniosłych poważny; w naradach dziecku ustąpi, jeżeli to dziecko ma słuszność. Dla słabości i ułomności ludzkich wyrozumiały, o każdym

myśli dobrze, każdego broni, chociaż dla siebie surowy. Ale w rzeczach religii niewzruszony, jak skała. Gdzie o wiarę i prawdę chodzi, tam nie ustąpi ani o włosek, choćby cały świat miał przeciw sobie."

Celem życia ks. Barzyńskiego była wielkość zakonu Zmartwychwstańców i kierownictwo ludu przez kościół, dążył ku niemu z siłą, ale i z bezwzględnością, dlatego wywołał uzasadnioną opozycyę, która jednak u trumny wypowiedziała słowa uznania dla swego przeciwnika.

Ks. Barzyński był synem zegarmistrza z Sandomierskiego.

H. S.

ŻYDZI NASI WOBEC SYONIZMU.

Ruch syonistyczny, który w ostatnich czasach dokonał takich postępów wśród naszych tłumów starozakonnych, wyłonił stałe zjazdy międzynarodowe — międzynarodowe w tem znaczeniu, iż zgromadzają się przedstawiciele żydowstwa ze wszystkich krajów. Przed kilku tygodniami odbył się w Bazylei trzeci zjazd syonistów. Przedmiot ten na pozór jest mało związany z naszym krajem, ale tylko na pozór, bo w gruncie rzeczy obchodzi nas z bliska, nawet bardzo bliska. Jesteśmy bowiem społeczeństwem, które w swoim organizmie posiada procentowo niezmierną ilość Żydów, a to, co ożywia masy żydowskie, nie może nie wywrzeć pewnego wpływu i na nasz własny rozwój.

W większości wypadków powitano u nas prąd syonistyczny jako wybawiciela, który oswobodzi społeczeństwo od obcego pierwiastku. Niechęci rasowe tak zaślepiły wielu, iż nawet nie zadali sobie pytania, czy czasami ów prąd co do swoich ostatecznych celów nie jest mrzonką, radzi, iż pozbędą się żywiołów „semickich." A tymczasem nie podlega żadnej wątpliwości, iż syonizm, o ile posługuje się w swoich dążeniach pielęgnowaniem przesądów i instynktów wyłączności, a posługuje się takimi środkami szczodrze, pozostawi po sobie w rezultacie jedynie spotęgowanie przepaści wzajemnej, oddzielającej Żydów od nie-Żydów, w krajach zaś takich, jak Austrya, stworzy, a przynajmniej stworzyć może partye polityczne, oparte na nienawiści kulturalno-rasowej i odda masy żydowskie w ręce rzezimieszków politycznych, stojących na gruncie rasowym. Zamiast ciemnych cadyków religijnych wyda podobnych im cadyków politycznych.

Obecny zjazd syonistów w Bazylei, obradujący tam w połowie sierpnia, utrwalił nas w tem przekonaniu.

Biorąc z kolei wszystkie trzy dotychczasowe wiece i przypatrując się powziętym uchwałom, widzimy, jak zasadnicza idea, mianowicie założenie państwa żydowskiego w Palestynie, przybiera coraz skromniejsze rozmiary i jak schodzi nawet na plan dalszy. Pierwszy zjazd odbył się niemal jedynie w imię takiego hasła: własne państwo, któreby połączyło rozpierzchłe żywioły z różnych krajów, bez różnicy majątku, a więc i plutokratów i prostych tragarzy, powtórnie wyprowadziło synów Izraela z ziemi niewoli i dało im możność samodzielnego rozwoju kulturalnego—było na ustach wszystkich. Drugi zjazd zachowywał się oględniej, „państwo" przekształciło się w „przytułek prawnie zapewniony." Na ostatnim i ów przytułek, wciąż mający na widoku całą ludność żydowską, zmalał jeszcze bardziej, a pozostało towarzystwo kolonizacyjne, popierające kolonizacyę na przestrzeni ziemi świętej. I ów „bank narodowy," co do którego inicyatorowie jego wysnuwali takie olbrzymie nadzieje (porównaj broszurę „Państwo żydowskie"), zawiódł pokładane nadzieje, bo zamiast dziesiątków milionów może pochwalić się zaledwie sumą dwóch z czemś milionów rubli. Inicyatorowie wierzyli w jedność „narodu" żydowskiego. Fakty zadały im kłam, bo pokazały, iż zawiera on w sobie sprzeczne interesy. Burżua żydowscy nie sprzeniewierzyli się naturze swojej warstwy, mniejsza w jakiej skórze narodowej ujawnia się ona: pozostali niemi i głusi.

Punktem wyjścia całego ruchu syonistycznego — samodzielne państwo izraelskie. Środki przezeń używane: odwoływanie się do odrębności i wyłączności, tak dalece posunięto, iż Nordau, ów wolnomyślny Nordau, piszący „kłamstwa konwencyonalne," podobno gotów był iść, czy nawet poszedł do bożnicy. Dzisiejszy stan sprawy: towarzystwo kolonizacyjne, które, dajmy na to, zaaklimatyzuje w Palestynie parę, kilka lub kilkanaście dziesiątków tysięcy rodzin starozakonnych z pośród żywiołów zdolnych do pracy fizycznej, tj. najdodatniejszych. Masy jednak pozostaną, a w trwałym rezultacie wieloletniej agitacyi odziedziczą poczucie swojej wyłączności i, co za tem idzie, wrogości dla kultury nie-żydowskiej. Każdy ruch masowy ma to do siebie, że im niżej się spuszczamy od prowodyrów do tłumu, tem pierwiastki i sprężyny jego duchowe stają się mniej wysubtelnione, przybierając charakter realniejszy—żywiołowych instynktów. Na czele ruchu syonistycznego, przy jego narodzinach, byli patryoci, bolejący nad poniżeniem rodaków i widzący w utworzeniu własnego państwa środek uniknięcia nędzy i poniżeń. Mylili się co do możliwości swoich ideałów, ale wierzyli. Ażeby pozyskać wpływ, podnieśli konieczność samoistnego bytu kulturalnego, tj. dali milczące przyzwolenie na przesądy. Po nich zjawili się praktyczni propagatorowie ich myśli, w których ręku środek zamienił się poniekąd na cel. Gdy pierwsi pragnęli oszczędzić ludowi swemu nędzy i demoralizacyi i dlatego chcieli go wyprowadzić z krajów niewoli, odwołując się na razie chociażby do przesądów, potęgujących wyłączność i fanatyzm, wówczas agitatorowie niższego rzędu zaczęli nieraz ostentacyjnie zalecać właśnie utrzymanie tych przesądów jako pierwsze zadanie, a przynajmniej będące na pierwszym planie, i potęgować poczucie wyłączności. Z rozmów wynosiliśmy przekonanie, iż przestało im chodzić o cokolwiek, prócz tej odrębności kulturalnej.

Nie będziemy zapuszczali się w rozbiór pytania, jak sprawa syonistyczna będzie się rozwijała nadal. Możliwem jest, iż dostanie się w ręce fanatyków samodzielności kulturalno-starozakonnej, niechcących rozstać się z żadnym szczegółem i zwyczajem, wszelkie zaś żywioły wolnomyślniejsze i głębiej pojmujące istotę zjawisk społecznych zostaną usunięte; niewykluczonem jest także bankructwo drobnomieszczaństwa żydowskiego, które i wśród starozakonnych odznacza się tą samą ciasnotą pojęć i widnokręgów, co gdzieindziej, zapanowanie zaś postępowców, którzy użyją organizacyi swojej na podniesienie poziomu współwyznawców w szrankach szerszej kultury. Walka pomiędzy obu odłamami zarysowała się dość wyraźnie na ostatnim zjeździe. Mniejsza zresztą o to; jedno jest pewnem, mianowicie, iż z wielkich planów wielkiego samodzielnego państwa żydowskiego będzie pozostawało coraz więcej strzępów.

Zrobiłem wycieczkę w kierunku syonistów. Ktoś mógłby mi zadać pytanie, dlaczego zamiast zbijać ich mrzonkę, nie rozpatrzę środków rozwiązania kwestyi żydowskiej.

Niezaprzeczenie, byłoby to rozsądniejszem. Ale, niestety, muszę się przyznać bez ogródek do tego, iż nie jestem czarodziejem, ażeby je wytrzasnąć z rękawa. Jest to jedno z tych zagadnień, które sprawiają dużo bólów, wywołują sporo udręczeń i są źródłem nieustającej rasowej nienawiści, godnej okresu zaścianków średniowiecznych, a na które wreszcie najpierwszem, a przynajmniej możliwem lekarstwem jest cierpliwość i dobra wola, przedewszystkiem zaś jasne zrozumienie położenia. Wszelkie uprzedzenia i nienawiści jedynie wikłają sytuacyę, nic dodatniego nie przynosząc, lecz natomiast sprawiając dużo złego. Zarówno nieprzejednani, czystej krwi syoniści, niechcący nic poświęcić z wiekowych zabobonów, jak ich godni współtowarzysze, antysemici podobnego znaku, tylko rozdmuchują zarzewie wzajemne. Walka pomiędzy starozakonnymi a innymi żywiołami jest w znacznym stopniu konkurencyą ekonomiczną, dzisiejszy zaś antysemityzm, tak wśród nas wzrastający, nie przedstawia nic innego, tylko wyraz wybijającego się kapitału rdzennie krajowego. Współzawodniczące strony, a raczej ich teoretyczni szermierze, w zacietrzewieniu wzajemnem, kładą grzechy swego stanowiska społecznego na karb rasowości, tem swojem zachowaniem się odrazu przekształcając to, co było przypadkowem, względnem, na kategoryę wieknistą, wyssaną z mlekiem matki. Lichwiarstwo, szynkarstwo — wyniki położenia ekonomicznego — w ten sposób zamieniły się na groźne widma, na objawy jakiejś osobliwej demonicznej natury rasowej, z którą niepodobna poradzić sobie w żaden sposób, bo znalazłszy przegrodzone wyjście jednem korytem, zwróci się ona ku innemu, zacznie np. trudnić się wyszynkiem eteru lub anodyn.

Powstała cała legenda publicystyczno-antropologiczna, którą nadaremnie nauka zbija, wskazując np. fakt, iż Żydzi galicyjscy w swojej większości posiadają w składzie rasowym te same pierwiastki, co i otaczająca ludność chrześciańska.

Jedno tylko w tym rozwoju stosunków nie ulega wątpliwości, mianowicie iż nędza wśród naszych tłumów żydowskich będzie wzrastała, jeśli nie znajdą one dostatecznego łożyska odpływu. Ludność kraju naszego rozmnaża się prędzej, aniżeli potężnieją siły wytwórcze z okazyą zarobku. Nastaje pewne przeludnienie, czerpiące swój początek w niskiej kulturze ekonomicznej, bo przy wyższym szczeblu intensywności gospodarskiej wieś nasza zdołałaby pomieścić o wiele liczniejszy zastęp mieszkańców, niż to czyni dzisiaj. Ale na razie niema na to rady: postęp ów gospodarczy pożąda wolniej, niż wymagałby przyrost zaludnienia — takim jest fakt, z którym trzeba się liczyć. Włościanin, przyzwyczajony do ciężkiej pracy fizycznej, opuszcza wioskę rodzimą na trwałe lub na czas krótszy, idąc szukać zarobku. „Obieżysastwo," które przybrało w paru latach ostatnich takie rozmiary, świadczy przewybornie o tem względnem przeludnieniu, wynikającem z niskiej kultury sił wytwórczych. To samo dzieje się śród tłumów żydowskich. Nie posiadam pod ręką danych statystycznych, ale mam wrażenie, iż przyrost ludności pomiędzy nimi jest nawet szybszy. Ilość mieszkańców wyznania starozakonnego, zaludniających nasze miasteczka, wzrasta prędko. Ale odziedziczone drogi zarobku i zdolności pracy są tak jeszcze mniejsze, tj. mniej liczne, aniżeli wśród żywiołów rdzennych kraju naszego. Handel i wszelkiego rodzaju strzęczycielstwo i pośrednictwo stanowią zaczarowane koło, wśród którego poruszają się masy żydowskie naszej prowincyi z wyjątkiem okręgów fabrycznych. Nadto te istniejące drogi i możliwości, i tak już w nadmiernym procencie znajdujące się w kraju naszym, są coraz bardziej zajmowane przez pierwiastki chrześciańskie. Powstaje położenie bardzo ciężkie nietylko pod względem materyalnym, ale, co za tem idzie, kulturalnym i moral-

nym. Część pewna Żydów bierze się do pracy fizycznej, ale nie wszyscy są do niej zdolni i przedewszystkiem nie zawsze istnieje ona w dostatecznej mierze. Część pewna opuszcza kraj, ale, w porównaniu z całą masą współwyznawców, nie jest i nie może być znaczną. na to potrzebne są inne fundusze, niż te, jakimi rozporządzają tłumy, znajdujące się często w ostatecznej nędzy. Wyspecyalizowane w ciągu wieków odrębnością kulturalną i zajęciem handlowem położenie zaczyna mścić się ciężko, uszczuplając środki wyżycia. Nędza rozgaszcza się wśród mas, straszna i rozpaczliwa. A ostatnie dziesięciolecie przyniosło pod tym względem znaczne pogorszenie. I co ma robić człowiek. któremu usuwa się wszelki grunt z pod nogi? Lichwa, stręczycielstwo najgorszego rodzaju, eter i anodyny, uczestnictwo w rozbojach służą za wystarczającą odpowiedź. To nie rasa działa, ale z jednej strony warunki ekonomiczne. z drugiej odrębność kulturalna, ścieśniająca jeszcze bardziej i tak już nieznaczną widownię działalności. Że w rasowości nie należy szukać klucza do antyspołecznego postępowania żywiołów żydowskich, o tem przekonywa nas rozkwit społecznych instynktów w obrębie samego żydostwa, kiedy chodzi o własnych współwyznawców.

Posępnie przedstawia się nam najbliższa przyszłość mas starozakonnych: zwiększona nędza, a wraz z nią zwiększona demoralizacya. Odpływ na inne miejsce, dostarczając możliwości zarobku, byłby w najwyższym stopniu pożądany. Ale dokądkolwiek on zwróci się, owa odrębność kulturalna, obca pierwiastkom doby dzisiejszej, będzie mu przeszkadzała. O tem powinny pamiętać te wykształcone i humanitarne jednostki z pośród żydostwa, którym na sercu leży położenie ich rodaków. Ruch syonistyczny, wkraczając na drogę wyłączności, wchłonął w zarodku swojem w siebie pierwiastki ujemne. Na zakończenie jedna jeszcze uwaga: kwestya żydowska, tak ciężka, będzie przedstawiała tem więcej dróg rozwiązania, im my sami bardziej będziemy posunięci w zdobywaniu humanitarnych, wielkich idej naszego stulecia.

K. R. Życicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Zjazd słowiański w Krakowie.

Od czasu jak dziennikarze stali się przemysłowcami, ich zjazdy i kongresy mają zupełną racyę bytu. Gdybyśmy wyobrazili sobie wiec powieściopisarzów, poetów, rzeźbiarzów, malarzów, zrozumielibyśmy łatwo, że ci ludzie po za przyjemnością wzajemnego poznania się i towarzyskiej rozrywki nie znaleźliby żadnego innego powodu do zgromadzania się i żadnego przedmiotu do obrad. Bo o czemże Brandt mógłby rozprawiać z Chełmońskim lub Fałat z Gierymskim, a nadewszystko, jakie oni mogliby powziąć uchwały? Odmiennie sprawa ta przedstawia się z garbarzami, cukrownikami. inżenierami, członkami rozmaitych stronnictw, wogóle jednostkami, które łączy pewien interes materyalny lub polityczny, dotyczący życia praktycznego. Ci niezależnie od swoich osobistych dążeń i celów, mają pewne dążenia i cele wspólne, które warunkują powodzenie pierwszych. W walce o byt występują oni jako jednorodne, zorganizowane roty i pułki, które muszą podlegać jednakiej komendzie, jeśli chcą odnosić zwycięztwa i zdobywać łupy. Ile w ich taktyce i wygranych bitwach jest uczciwości, a ile osłoniętego lepszymi pozorami rozboju, ile w różnych solidarnościach, *ringach, syndykatach* i wszelakich zmowach tkwi słusznej obrony, a ile samolubnego łupiestwa, rozważać tu nie będę, gdyż zaznaczam tylko logikę interesów. Do tej samej kategoryi zapaśników należą dziennikarze. Jeżeli w jakimś hotelu obok handlarza zamieszka w przejeździe genialny malarz, to jeszcze nie dowodzi, że ów hotel jest pracownią artystyczną; jeżeli podczas procesyi Bożego Ciała w bramie jakiegoś domu urządzony zostanie ołtarz, to jeszcze nie dowodzi, iż ów dom jest świątynią. Podobnie jeśli w jakiejś gazecie drukowane są poematy lub rozprawy naukowe, to jeszcze nie świadczy, że owa gazeta stanowi przybytek literatury. Bo jej główne zadanie polega nie na dostarczaniu poematów lub rozpraw naukowych, lecz — nowin. Spróbujcie odjąć jej ostatnie, a zobaczycie, ilu czytelników odwróci się od pierwszych. To też dziennikarz nowoczesny nie potrzebuje posiadać ani talentu, ani nauki, tylko zdolność chwytania lub wytwarzania wiadomości. Równie jak majster fabryczny, jest on najczęściej dla ogółu spożywców bezimiennym. Czy wiecie, kto jest twórcą wzoru na perkalu lub korcie? Nie. Tak samo nie wiecie, kto pisał w tysiącach gazet sprawozdania z procesu Dreyfusa, wypadków w Transwalu lub narad klubów austryackich. Tamto i to robiły ludzkie maszyny, od których się wymaga tylko pośpiechu, dokładności lub sprytnego kłamstwa. Naiwny czytelnik nieraz zadaje sobie pytanie: jakiem czołem dziennikarz może ogłosić fakt całkiem zmyślony — np. rozmowę z dyplomatą, która się nie odbyła lub dokument, który nie istniał—i sądzi zapewnie, że redakcya po zdemaskowaniu kłamstwa czuje się skompromitowaną i wypędza podstępnego współpracownika. Bynajmniej. Dokonane ono zostało z jej wiedzą i puszczone przez nią w świat z rachubą, która cel osiągnęła.

Dziennikarz nowoczesny, uwolniony od potrzeby posiadania talentu i wiedzy, wszelkich tytułów i praw literackich, obowiązany jedynie do wykazania uzdolnień śledczych, stał się zawodowcem osobnego rodzaju. Gdy zręcznie i czujnie tropi, węszy, wykrada tajemnice, gdy jest jednocześnie policyantem i złodziejem, wyżłem i lisem, gdy jego zmyślność upodabnia się do rurki wydzielającej promienie Röntgena, które przeświecają ciała nieprzezroczyste. chociażby skądinąd był pustym, nieudolnym i głupim, jak owa rurka, ma dla swoich przedsiębiorców wysoką wartość. Rzecz to bardzo zrozumiała, że ten gatunek rzemiosła wiąże swych pracowników pasmem odrębnych interesów, których oni strzedz muszą zwłaszcza w obrębie wspólnej organizacyi narodowej lub państwowej. I dlatego gdybyśmy np. usłyszeli, że dziennikarze austryaccy urządzają swój zjazd, uważalibyśmy to za bardzo naturalne. Ludzie, którzy dla swojej działalności potrzebują mnóstwa praw, przywilejów i swobody ruchów, muszą dla zdobycia ich porozumiewać się i obmyślać sposoby wyzyskiwania warunków. Innego charakteru nabiera zjazd dziennikarzów słowiańskich, który niedawno ukończył swe obrady w Krakowie. Osią jego już nie jest interes zawodowy, ale polityczny. I rzeczywiście oś ta odrazu wysunęła się na wierzch. Bardzo mało mówiono o rzemiośle, a bardzo dużo o walce plemiennej. Czy wszakże wiec ten był naturalnym wyrazem istniejących w Austryi stosunków? Nie wciągając do rachunku zwykłych a łatwo ulatniających się serdeczności i toastów biesiadnych, musimy wyznać, że był zlepkiem sztucznym. Słowianie bowiem austryaccy nie żyją z sobą w braterskiej zgodzie, nie mają wspólnych celów, nie popierają się wzajemnie w ścisłych sojuszach, lecz chodzą rozbieżnemi drogami ścierają się ustawicznie a zwalczają bardzo często. Niebezpieczeństwo ze strony Niemców obudziło w nich przyjacielskie sympatye i świadomość potrzeby związku, ale to przymierze jest zbyt słabe, zbyt łatwo pękające w swych węzłach, ażeby można było je uznać za trwałą spójnię. A więc może zjazd krakowski ją zadzierzgnął? Całusy, uściski, mowy i rozmaite słodycze słów obficie wylanych upoważniałyby do takiego przypuszczenia; my jednak niestety wiemy, że one nie są mocnym cementem, lecz wątłym klejem chwili, z którą przepadają, roztapiając się szybko w zupełnem zapomnieniu. Byłoby to faktem nader pożądanym i bardzo doniosłym, ażeby jakiś prąd połączył Słowian austryackich, ażeby jakaś moc nie zczepiła ich luźnie, lecz skuła trwale, ażeby przymierze obronne uczyniło ich głównymi spadkobiercami konającego państwa; jeśli wszakże tego dzieła nie dokonała wyraźna i od tak dawna ujawniająca się konieczność rozwoju wypadkow, to wątpimy o cudzie magicznej władzy kilkodniowego obcowania z sobą kilkudziesięciu dziennikarzów. Jeszcze może służba hotelowa nie sprzątnie kieliszków, którymi wznoszono toasty miłości słowiańskiej, gdy Czesi zaczną znowu się worywać w polskie zagony na Szląsku lub Polacy ujmą za kołnierz Rusinów. Arkę przymierza trzeba budować długo, składać ją z drobnych cegiełek i wielu belek, a tego materyału i tej pracy nie zastąpi najgoręcej rozpalony piec gościnnego domu, w którym niepodsycany i nierozdmuchiwany ogień nazajutrz przygaśnie, a węgle spopieleją. Gdyby na ziemię zstąpiła wszechmoc i zapytała, co ma Polakom dla ich szczęścia dać, a co odebrać, należałoby ją błagać przedewszystkiem, ażeby im odebrała złudzenia i naiwną wiarę we wspaniałomyślność braci, krewniaków i przyjaciół. Bo chyba na niczem oni bardziej się nie zawiedli, niż na tej ufności. Ile razy krzyknęli: „kochajmy się,“ tyle razy przekonywali się, że ich nikt szczerze nie kochał.

Jednym z dowodów są Węgrzy—ten sławiony w pismach „bratanek.“ Jak im w ostatnich latach gładko przez gardło przechodziło życzenie „zniszczenia Kartaginy“! Na zjazd krakowski zabronili przybyć „swoim“ Słowianom. Ci zacni rycerze swobody, wyszydzający urągliwym śmiechem wszelkie gdzieindziej stworzone ograniczenia praw obywatelskich, nie wahali się użyć zakazu, który jest bliższym barbarzyństwa ich dzikich przodków, niż kultury narodów współczesnych. Prawdopodobnie obawiali się, ażeby biedni Słowacy nie zdjęli kłódek z zamkniętych ust i nie opowiadali o błogosławionych skutkach ich panowania. Przezorność daremna, bo krzywda uciemiężonych przesiąka przez najgrubsze mury i nie jest dla nikogo tajemnicą. W podobnych zabiegach świat zawsze widzi więcej dowodów niespokojnego sumienia, niż rozumu, a nieme cierpienie bywa wymowniejszem od krzykliwego. W każdym razie to zamknięcie rogatki jest objawem podwójnie charakterystycznym: naprzód wskazuje, gdzie nietolerancya ma swoje ukryte gniazdo i czego Słowianie w wypadku drażliwszego rozrachunku spodziewać się mogą od swoich „bratanków.“ W dawnym kotle panońskim rozgotowało się już na miazgę twarde mięso Hunnów; do tej miazgi czas w ciągu wieków dorzucał rozmaite okrawki etnologiczne, a między innymi sporą garść Żydów, którzy zarówno w Przedlitawii, jak Zalitawii stanowią pierwiastek wrogi Słowianom. Wiara tedy w przyjaźń, albo nawet w sprawiedliwość takiego mieszańca byłaby zbyt dziecinną, tem bardziej, że niestrawiony dotychczas i kamieniem leżący w jego żołądku kęs słowacki rozjusza instynkty madziarskie ustawicznie prze-

ciw całemu plemieniu ich ofiar. W polityce, gdzie w grze zdarzeń przyjmują udział najrozmaitsze, nieobliczone i często niewidzialne czynniki, trudno być wróżbitą: zdaje mi się wszakże, że jeśli kiedyś nastąpi likwidacya Austryi, Słowianie spotkają w Węgrach orzech dalcko twardszy do zgryzienia, niż w Niemcach, którzy odedrą się od pnia obcego i przyrosną do macierzystego, podczas gdy Madziarowie zechcą na gruzach starej budowy wznieść nową, własną, naturalnie kosztem ludów „niższych," niż dostojni Hunnowie.

Czy o tej możliwości pomyślał na chwilę zjazd słowiański w Krakowie? Nie — ale mu tego nie bierzmy za złe, gdyż on nie przedstawiał siły, mogącej oddziałać na bieg wypadków, chociażby nawet w jego łonie zapadły pod tym względem najbardziej stanowcze i najjednomyślniejsze uchwały. Był on towarzyską pogawędką z kilkoma uroczystymi monologami, których najmniejszego śladu nie odnajdziemy za miesiąc w tej samej prasie, co go urządziła.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Władysław Grzymałowski. *Dzieje Polski w krótkim zarysie.* Warszawa, 1899. str. 156. (Bezimienny) *Historya Polski, podręcznik praktyczny,* Warszawa, 1898 (tomików cztery). Dr. Anatol Lewicki: *Dzieje narodu polskiego w zarysie,* Warszawa. 1899, str. 498.

Z podręczników, obejmujących całość historyi dawnej Polski, znajdowała się do niedawna w użyciu i obiegu naszym księgarskim wyłącznie niemal dwutomowa praca Michała Bobrzyńskiego „Dzieje Polski w zarysie" — rodzaj pamfletu politycznego na żałosny po szkodzie temat o potrzebie naprawy Rzeczypospolitej w duchu monarchicznym, o niezbędności cofnięcia rozwojowej fali narodu ze wschodu na zachód, o szkodliwych następstwach unii lubelskiej itp. Obok tej rozprawy spotykało się niekiedy w ręku młodzieży ksiąg dwanaście w jednym tomie „Historyi Polskiej" Józefa Szujskiego, „dzieło bogate pod względem materyału faktycznego, lecz kronikarskie, suche, hołdujące ultramontizmowi i lojalizmowi," jak się wyraził „Przewodnik dla samouków" (II, 316). Dziwaczna pisownia „Historyi Polskiej" Edwarda Bogusławskiego, a w części też i dążność bałamutna, skazały udatny ten skądinąd całokształcik na zapomnienie i poniewierkę. Dopiero cztery tomiki „Dziejów narodu polskiego" wydane w r. 1898 bez wskazania autora, z przedmową Wł. Smoleńskiego, ujęły obraz przeszłości naszej w ramy wykładu treściwego, przedmiotowego, zajętego przeważnie celami pedagogicznymi, bez umyślnych zboczeń partyjnych, czy to historyozoficznych, czy publicystycznych.

Trzy świeżo ogłoszone opracowania z tegoż zakresu nie ulegają również zarzutowi tendencyjności wyraźnej, formalnej, ale się znacznie z sobą różnią pod względem wartości naukowej i metodologicznej. Władysława Grzymałowskiego „Dzieje Polski w krótkim zarysie dla użytku *młodzieży*"— należą do szeregu kompilacyj, z których korzystać może jedynie wiek bardzo młodociany, dziecinny, dowiadujący się po raz pierwszy o żelaznych słupach Bolesława Śmiałego lub o zgonie księcia Józefa w nurtach Elstery. Wierszyki, przeplatające opis wypadków głównych, z Syrokomli, Hluckiej, Wasilewskiego, Bielowskiego, Władysława Bełzy, najczęściej zaś z Niemcewicza, ułatwiać mają elementarne to zadanie. W przedmowie autor uprzedza, że nawet niektóre ustępy prozą brane były z innych podręczników, jak np. o dzwonie zygmuntowskim z Chociszewskiego, o bitwie pod Wiedniem z „Wieczorów w Ojcowie." Wnioski i sentencye moralne są dość trzeźwe i niekiedy śmiałe. „Słowianie mieli umysł żywy, usposobienie wesołe, odznaczali się dobrodusznością, gościnnością i wielkiem przywiązaniem do ziemi rodzinnej, ale mieli przytem i wady: lekkomyślność, brak wytrwałości, łączności i zgody. Te przymioty i wady, które cechowały dawniej przodków naszych, cechują i dziś jeszcze nasz naród" (str. 8). „Największymi wrogami przodków naszych byli Niemcy, chrześcianie oddawna" (9). Przyczyny upadku sformułowane zwięźle i na właściwem miejscu, najpierw za Aleksandra Jagiellończyka, kiedy szlachta staje się „wszechwładną, panuje nad kmieciami jako nad poddanymi, zabrania mieszczanom posiadać dobra ziemskie i ich przedstawicieli z sejmu usuwa, a władzę królewską ogranicza zupełnie" (59); następnie za Zygmunta III, „wszelkie bowiem zło, jakie później naród nasz do upadku doprowadziło, wzięło swój początek lub wzmogło się za jego panowania: prześladowanie religijne, bunty kozackie, niezgody magnatów, swawola szlachty, ucisk ludu; oświata też zaczynała upadać, porządek psuć się — później było coraz gorzej" (97) Przy końcu książeczki umieszczone zostały tablice genealogiczne królów, chronologia większa i mniejsza (ta druga obejmuje wypadki najdonioślejsze), oraz pytania — nie zawsze, zaznaczmy to mimochodem, szczęśliwe. (np.: „który król mając lat dziewięć był już na wojnie?" „kto do Polski sprowadził kości św. Floryana?" „który król czterdzieści siedem bitew wygrał a jedną tylko przegrał?") — zwłaszcza w sąsiedztwie zagadnień o tem, jakie koleje przechodziło Pomorze lub jaki był stosunek władzy królewskiej do sejmu.

Dla kogo przeznaczoną została „Historya Polski," wydana bezimiennie jako „podręcznik praktyczny do nauki kraju naszego" przez redakcyę *Wieku,* tytułem „bezpłatnego premium?" Tekst zdaje się jest ten sam, co i w szumnie rozgłoszonej „Historyi" ilustrowanej prof. Augusta Sokołowskiego. Więc dla kobiet? dla panien pozbawionych możności złożenia na stoliku salonowym edycyi ozdobnej, obrazkowej? W takim razie przedsięwzięcie o tyle tylko nie jest chybionem, o ile do niego zastosować zechcemy dobrodziejstwa znanego przysłowia o darowanym koniu... Materyał to surowy, zawiły, powiązany przygodnie i zewnętrznie: stosunek szczegółów obrobionych staranniej do traktowanych pobieżnie jest taki, jak gdyby autorowi, czy też raczej przerabiaczowi chodziło o błyśnięcie tu i owdzie erudycyą i oczytaniem rozległem z pominięciem względów poważniejszych. Punkt ciężkości w opisach umieszczono na czasach jagiellońskich, natomiast drugą połowę wieku XVII i cały wiek XVIII przedstawiono ogólnikowo, schematycznie. W poglądach góruje pewne umiarkowanie, łagodzące przestarzały koloryt tematów wstecznych, ale dbałość o wyrównanie co chwila powstających wskutek tego sprzeczności sprowadza chwiejność i zamęt w charakterystykach ludzi i wypadków — jak to szczególniej rażąco występuje w rozbitej na cząstki ocenie działalności Zbigniewa Oleśnickiego, „możnowładcy z pochodzenia i przekonania, żarliwego katolika, nieznającego tranzakcyi w rzeczach wiary i patryoty gorącego, strzegącego pilnie interesów polskich," który „przez ćwierć wieku kierował polityką polską" (II, 103 nast.). Złóżmy wszystko, co o Oleśnickim w rozstrzeleniu faktycznem podaje książka, a przekonamy się naocznie, że ten żarliwy katolik wygląda tak zupełnie, jak gdyby w nim polityk polski nie zgoła i nigdy nie wiedział, ani czego chce, ani w którą stronę dąży, na wschód czy na zachód, na północ czy na południe.

„Dzieje narodu polskiego w zarysie" dr. Anatola Lewickiego posiadają wszystkie cechy obrobienia fachowego, systematycznego, uwzględniającego najświeższe nabytki wiedzy historycznej, lubo w układzie ciąży na nich widocznie znamię dawnej pedagogiki niemiecko-galicyjskiej. Ile tu części, rozdziałków, naddziałków, okresów, podokresów, nagłówków i zagłówków! Równie jak i „Dzieje Polski" z przedmową Smoleńskiego, dr. Lewicki obejmuje w swej książce czasy porozbiorowe, które u niego stanowią epokę czwartą, okresy od trzynastego do szesnastego włącznie (paragrafy od 255—267). Trudno powiedzieć, czy w warunkach obecnych takie uzupełnienie i zaokrąglenie jest pożądanem, pożytecznem i potrzebnem, czy się zgadza z wymaganiami nauki i czyni zadość niemilknącej w duszach ludzkich dążności do prawdy. Z tego, co dr. Lewicki przelotnie zaznaczyć zdołał o ostatniej dobie naszego życia od r. 1863, wnosić trzeba, że do jakiegoś czasu stanowczo zaniechaćby należało wszelkich uogólnień tej frazesowej treści, co następująca np.: „Cała historya porozbiorowa aż do r. 1863 była jednem ciągłem dążeniem do odzyskania utraconej niepodległości" (str. 485). Przykrych i wielce nieraz upakarzających, szkodliwych, niesłusznych przemilczeń uniknąć niepodobna, a gdy następnie łatać je wypadnie współczesnym dla siebie i swoich, wpada się w przesadę odwrotną — chwali się to, czego nie było i niema, podnosi się rzeczy i zdarzenia, wymagające niezliczonych zastrzeżeń. Komu i na co się przydadzą formułki w tym oto gatunku: „Z powstaniem styczniowem skończyła się 70-letnia epoka powstań polskich. Mimo wysileń i niezliczonych ofiar krwi i mienia, Polacy nie odzyskali niepodległości swojej ojczyzny. Ale świetne czasy Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, cały szereg znakomitych mężów stanu, jakich wydało i wydaje Księstwo (Pozn.), Królestwo i Galicya, dowodzą, że Polacy zdolni do samoistnej pracy cywilizacyjnej Wznosi się nauka i sztuka polska, wzrasta — gdzie może (!) — oświata ludu, a z nią i świadomość narodowa, poprawia się materyalny i moralny dobrobyt społeczeństwa. O powstaniach nikt dzisiaj w Polsce nie myśli. Podniesienie, a gdzie potrzeba (?) zachowanie bytu narodowego jest dzisiaj jedynem dążeniem narodu polskiego" (488). Tego wzmocnienia, podniesienia, tej nauki polskiej, tych znakomitych mężów stanu autor pokazać nam nie jest w stanie — to zaś, co na świadectwo przytacza o instytucyach galicyjskich („nowe kasy zaliczkowe i banki, ustawy dla podniesienia rolnictwa, chowu bydła, ochrony lasów, regulacyi rzek, nowe zakłady dobroczynne, szpitale itp.") wygląda niemal na szyderstwo wobec powszechnie znanej stańczykowskiej stagnacyi moralnej i żydowskiego zaprzepaszczenia się materyalnego. A co do tych kilkunastu beletrystów, których dr. Lewicki wymienia z datami ich zgonu, bardzo jakoś wątpliwie podpierają oni naszą dzisiejszą cywilizacyę ojczystą...

Ograniczmy się tymczasowo do dziejów dawnej Polski. Dość tu jest jeszcze do włożenia pracy i zachodów. Jest to przytem całość sobie wystarczająca i w sobie zamknięta. Możemy się wprawdzie pocieszać niekiedy, że upadek z końca wieku XVIII nic starego nie zakończył i nic nowego nie zaczął: w każdym razie przerwa w politycznych funkcyach narodu aż nadto głęboką bruzdę wyżłobiła pomiędzy XII a XIII (według dr. Lewickiego) okresem historyi polskiej, żeby nam dać możność

wyciągnięcia z podsumowanego i zlikwidowanego rachunku życia wystarczającej na dziś ilości wniosków ogólnych, naukowo uzasadnionych, największej wagi pod względem praktycznym. Niezależnie nawet od pożytków współczesnych, bieżących, ileż pozostało nam do zdobycia w zakresie erudycyi uzupełniającej i wyświetlającej, tudzież w dziedzinie mistrzowstwa formy, która zaledwie w rzadkich i coraz rzadszych okazyach utrzymuje się na wzniesionym przez Szajnochę poziomie.

J. T. H.

POEZYE

Nad „Księgą pieśni“

Czas z tobą płynie mi wartko:
Pójdź; mała książko, do ręki...
Przewracam kartkę za kartką,
Cudnymi pojąc się dźwięki.
Z tej strofki uśmiech czarowny
Odbiciem z oczu mych tryska:
Bo tak w niej ból gra wymowny,
Że łzy mi z oczu wyciska.
Radość tu błyszczy tak szczerze,
Jak tafla wód zwierciadlana;
Cierpienie, zda się, tak świeże,
Jak róża świeżo zerwana.
Ot, gniewu paląca zwrotka
Wciąż jeszcze trafia w nikczemność,
A piosnka miłości słodka
Jeszcze obudza wzajemność
A ten, co śmiał się i szlochał
I snuł swoją piosnkę sławną,
Co nienawidził i kochał —
Ten śpi już w ziemi tak dawno.
Bieleją kości... bieleją;
Robactwo igra na stypie;
I deski trumny wietrzeją;
I proch w ciemności się sypie...
I czaszka zęby wyszczerza...
I próżne oczy rozwiera... —
Lecz serce i dziś uderza.
I w „Księdze“ tej — nie umiera!

O, niechaj danem mi będzie,
Gdy zejdę w ziemi głębiny,
Bym pieśnią moją wywołał
Łzę jedną — uśmiech jedyny!

Leo Belmont.

Bóg wiatru.

Bóg wiatru w ciemnym płaszczu i długim welonie
Dźwiękiem rogu dreszcz zwiewał na pochmurne
[tonie —
A takim gromem huczał ten bóg czarnoręki,
Że się morze ulękło — i stłumione dźwięki
Rozkołysanych fal, przypadłszy na ponure skały,
Łkały zcicha, jak dzieci bite. Długo łkały.

A na dźwięcznomosiężny odgłos tego rogu
Wyszły podziemne duchy pokłonić się bogu —
One, co gór wierzchołki w świt malują zorzą,
One, co głębie jezior siną piersią porzą —
One — dech twórczy ziemi, rzek i oceanu,
Dusze gór—wszystkie wyszły pokłonić się panu.

Bóg wiatru dął w róg wiewem, co go z chmury
[wyssał —
I świat się od tych szmerów cały rozkołysał.
Szał powietrze ogarnął — zcicha i pomału
Urodził się śpiew bólu, tęsknoty i szału —
I podobny do szczęścia, widzianego we śnie. —
A bóg słuchał go długo, cicho i boleśnie.

A na dzikoomdlałe tej pieśni odgłosy
Strząsnęły z siebie kwiaty nocne krople rosy,
Rozgadały się głazy, wody rozszemrały,
I mgły zawirowały w taniec rozszalały —
I rozsrebrnił się akord pieśni wniebosiężnej. —
A bóg dął mocną piersią w róg dźwięcznomo-
[siężny.

Władysław Sterling.

LITERATURA I SZTUKA.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

* * *

POWIEŚCI. W. Reymont: „Lili,“ żałosna idylla, z ilustracyami Jaroszyńskiego (298 str.). Gebethner i Wolff.

— K. Rojan: „Lepsze czasy“ (259 str.). Gebethner i Wolff.

— A. Niemojewski: „Listy człowieka szalonego“ (249 str.). Gebethner i Wolff.

— W. Sieroszewski (Sirko): „Risztan,“ z ilustracyami Kamieńskiego (210 str.). Gebethner i Wolff.

— E. de Amicis: „Serce,“ pamiętnik chłopca, książka dla młodzieży, wyd. drugie (349 s.). Fiszer.

— J. Augustynowicz. „Ksiądz Prot,“ historya ludzka (287 str.). Dubowski.

— J. Dunin Karwicki: „Ze starego autoramentu,“ typy i obrazy wołyńskie, serya druga (239 str.). Dubowski.

— A. Dygasiński: „Zając.“ (261 str.). Fiszer.

— S. Kondratowicz: „Całą siłą“ (192 str.). „Bibl. dzieł wybor.“

— H. S. Wells. „Wojna dwóch światów“ (148 s.), tłom. Marya Wentzl. Dodatek do *Gazety Polskiej*.

NAUKI PRZYRODNICZE. H. Merezyng: „Dumania przyrodnika“ (134 str.). Petersburg. Grendyszyński.

— A. Zaborowski: „Światy zaginione,“ tłom. J. K. Potocki (225 str.) i J. N. Lockyer: „Pierwsze początki astronomii,“ przetłomaczył i do użytku samouków zastosował Wł. Skłodowski (203 str.). Obie te książki wyszły w „Wydawnictwie popularnem“ Gebethnera i Wolffa.

— F. Schoedler i O. Thome: „Zasady botaniki,“ według 23 wyd. „Księgi przyrody“ opracował i dopełnił M. Heilpern (292 str.). Gebethner i Wolff.

PSYCHOLOGIA. L. Dugas: „Nieśmiałość,“ studyum psychologiczno-etyczne, tłom. E. Stojowski (136 str.). Wyd. *Przeglądu filozoficznego*.

POEZYE. K. Sterling: „Nastroje“ (96 str.).

— J. Słowacki: „Pisma,“ t. III, dodatek do *Kuryera Codziennego*.

DRAMAT. Maeterlinck: „Księżniczka Malena,“ tłom. K. Sterling (167 str.). W. Okręt.

— G. Hauptmann: „Kolega Crampton“ (81 str.), tłom. L. German. Nakład W. Okręta.

MONOGRAFIA. R. Zawiliński: „Słowacy, ich życie i literatura“ (159 str.). „Bibliot. dzieł wyb.“

— M. Dragomirow: „Joanna d'Arc,“ tłom. S. Stawczański (66 str.). Kijów, Idzikowski.

— B. J. K.: „Wspomnienie o półwiekowem istnieniu księgarni i drukarni J. B. Lange w Gnieźnie,“ poświęcone pamięci jej założyciela, J. B. Langego (28 str.).

PRAWO. N. Likiert: „Ekspertyza sądowo-lekarska“ (42 str. — cena 40 kop.) Odbitka z „Kroniki lekarskiej.“

KSIĘGA PAMIĄTKOWA na uczczenie setnej rocznicy urodzin A. Mickiewicza, dwa tomy (371 i 300 str.). B. Natanson.

HISTORYA. „Dzieje powszechne ilustrowane,“ z. 263—271.

DLA LUDU. Antoszka: „Przyjaciel oświaty i inne powiastki“ (79 str. — 25 kop.). Koliński.

— „Powrót pod rodzinną strzechę i inne powiastki“ (76 str. — 25 kop.). Koliński.

ATLASY. Dr. C. H. Szubert: „Atlas historyi naturalnej,“ opracowany przez A. Fuchsa, z. I (75 kop.). Fiszer.

OPOWIEŚCI POPULARNE. H. Orsza: „T. Lenartowicz, lirnik mazowiecki i jego pieśni“ (84 str.), z rysunkami. Łódź. Nakład Nietyxa.

— „Z życia królowej Jadwigi,“ opowiadanie historyczne dla dorastającej młodzieży (46 str. z obrazkami). Łódź, Nietyxa.

— A. M.: „Mikołaj Rej z Nagłowic“ (28 str.).

— S. Lemiesz: „Nasze miasta“ (68 str.). Łódź, Nietyxa.

W DALI.

Petersburg. Wniesiono do rady państwa projekt nowego prawa o najmie robotników wiejskich. Oto główne zasady (według streszczenia pism rosyjskich): Podstawą najmu tej kategoryi robotników jest wzajemna umowa stron spisana w książce umów, lub książeczce rozrachunkowej. Książki te jednak nie są obowiązującym warunkiem najmu. Zarobkodawca, z którego winy robotnik doznał uszkodzenia na zdrowiu, zobowiązany jest do wynagrodzenia poszkodowanego, lub w razie jego śmierci, rodziny, utrzymującej się z zarobku zmarłego. Wysokość odszkodowania pozostaje do dobrowolnego porozumienia się stron, w przeciwnym zaś wypadku do uznania sądu. Zarobkodawca, najmujący robotnika, o którym wie, że związany jest poprzednią umową, lub w wypadku jeśli nowa umowa najmu uniemożliwia robotnikowi wypełnienie poprzednich zobowiązań, zmuszony będzie do wynagrodzenia strat poprzedniego zarobkodawcy. Gospodarzowi przysługuje prawo wytrącania z zarobku robotnika: za opuszczanie dni roboczych, pijaństwo, samowolne opuszczenie roboty w dni świąteczne, za niedbałą robotę, za szkody, lub przyjęcie cudzej roboty, a również za uchybienie i nieposłuszeństwo. Wytrącania za ostatnie przewinienia mają wpływać do kas miejscowych instytucyj dobroczynnych, pozostałe zaś na rzecz zarobkodawcy z warunkiem, żeby wysokość ich nie przewyższała zarobku dwudniowego, za opuszczenie zaś dni roboczych, bez przyczyny — podwójnej płacy za ilość dni opuszczonych. Na niesłuszne żądania zarobkodawcy robotnik powinien podawać skargi do sądu, nie uchylając się jednak od wypełnienia swych obowiązków. Jeśli skarga robotnika nie będzie uwzględniona przez sąd, to czas stracony na prowadzenie sprawy sądowej będzie uważany za opuszczenie przez robotnika roboty bez uzasadnionej przyczyny. W razie niestawienia się robotnika, lub samowolnego opuszczenia służby, zarobkodawcy przysługuje dochodzenie praw swoich na drodze karnej. Nowe prawo ściśle określa wypadki, w których zarobkodawcy mogą wymówić robotnikowi pracę przed upływem terminu najmu, jak również kiedy prawo to przysługuje robotnikowi, z warunkiem zawiadomienia o tem władz miejscowych, lub policyi.—W sprawie monopolu *Nowosti* zamieszczają następujące uwagi: W *Wiestniku finansów* od czasu do czasu ogłaszane są korespondencye różnych osób z terytoryów skarbowej sprzedaży trunków, dotyczące reformy wódczanej ze stanowiska unormowania spożycia wódki. Nadsyłane przez korespondentów wiadomości są oczywiście pod tym względem zupełnie przedmiotowe i, podnosząc niektóre dodatnie następstwa reformy, nie ukrywają wszakże i faktów natury ujemnej. „Przedewszystkiem korespondenci zaznaczają tę okoliczność, że zamknięcie dawnego rynku bynajmniej nie usunęło dawnych sposobów handlu wódką. Obok bowiem skarbowych sklepów monopolowych pojawiło się mnóstwo tajnych miejsc sprzedaży wódek, pozostających już po za obrębem wszelkiego nadzoru. Tego rodzaju tajny handel wódką przypisać należy odległości od sklepów rządowych, niemożności otrzymywania w nich wódki na kredyt i ograniczonemu czasowi sprzedaży. Z drugiej strony są podstawy do przypuszczeń, że w tajnych szynkach wódka sprzedawana jest przeważnie „szwarcowana,“ tj. przywieziona z miejscowości, w których nie wprowadzono skarbowej sprzedaży trunków. Ponieważ ceny wódek, ustanowione w sklepach monopolowych, są bardzo wysokie, znacznie przewyższające ich wartość, z dołączeniem akcyzy i kosztów przewozu, więc tego rodzaju handel rokuje ogromne korzyści. Bardzo szerokie rozmiary zwłaszcza może on przybrać w miejscowościach, graniczących z terytoryami nieskrępowanej sprzedaży trunków. Należy się obawiać, że liczba miejsc tajnej sprzedaży wódek jest wszędzie bardzo znaczna, gdyż walka z tem złem nader utrudniona z powodu słabego po wsiach nadzoru policyjnego. Dla władz zaś wiejskich utrzymywanie tego handlu jest nowem

źródłem dochodu. Jak zapewnia np. korespondent z Szawel, „niema miasteczka, w którem nie byłoby tajnych zakładów ze sprzedażą trunków, wykrycie ich wszakże jest rzeczą niemożliwą.' Wielce rozpowszechnionem złem, na które zwracają uwagę korespondenci *Wiestnika finansów*, jest również powstawanie tajnych miejsc, w których piją wódkę, nabywaną w sklepach monopolowych. W tych zbiorowiskach sprzedawane są również zakąski. Niektórzy korespondenci sądzą, że odczuwaną przez ludność potrzebę tego rodzaju miejsc należałoby wziąć pod uwagę i zaspokoić w ten lub inny sposób. Tak np. jedno kuratoryum trzeźwości proponuje, aby zezwalano kuratoryom na otwieranie takich jadalni, gdzie ludność mogłaby wypijać nabytą w sklepie monopolowym wódkę. Lecz w razie takiego rozszerzenia zakresu żądań kuratoryów trzeźwości, mogą one zmienić się na rozsadniki pijaństwa. Wreszcie większość korespondentów potwierdza fakt wzmagającego się pijaństwa na ulicach tam, gdzie w pobliżu sklepów skarbowych niema zakładów do wypicia wódki na miejscu. To pijaństwo uliczne sprawia niemało nieprzyjemności przechodniom i osobom, mieszkającym w pobliżu sklepów monopolowych; towarzyszą mu zwykle bójki i wymyślania. Prócz tego wódka, szybko pochłaniana na ulicy i bez zakąski, upaja daleko prędzej. Zdaniem wielu korespondentów, nadzieje, że reforma wódczana przeniesie spożycie wódki z rynków do domów rodzinnych, nie sprawdziły się i wogóle nie mogą się sprawdzić. Włościanin rosyjski — mówią oni — lubi pić w towarzystwie, nie sam jeden. To dążenie zresztą do zbiorowego picia nie jest cechą, wyróżniającą włościanina. Posiadają je i osoby wszystkich innych warstw. Ale *quod licet jovi, non licet bovi*."

Kijów. Pan minister rolnictwa zatwierdził w tych dniach ustawę kijowskiej Kasy rolniczej oszczędnościowo-emerytalnej, która jest przeznaczona dla osób, oddających się rolnictwu i związanych z niem działem przemysłu, oraz dla oficyalistów rolnych i stałej służby. Celem Kasy jest ułatwienie składania w niej na procent oszczędności, które wydaje się uczestnikom lub ich rodzinom w postaci nagromadzonego kapitału lub emerytury; nadto właściciele ziemscy i wogóle rolnicy, oraz właściciele zakładów rolniczo-przemysłowych, chcący zabezpieczyć byt swych oficyalistów, mogą wnosić do Kasy na ich rzecz pewne opłaty. Członkowie Kasy mogą korzystać z pożyczek krótkoterminowych i zapomóg jednorazowych. Członkowie rzeczywiści płacą tytułem wpisowego 5 rb. i zobowiązują się piśmiennie do składania w Kasie 5% od wynagrodzenia rocznego lub od dochodów. Sprawami kasy kieruje bezpośrednio zarząd, mający swą siedzibę w Kijowie. Według ustawy, do składu komitetu nadzorczego wchodzi na prawach stałego członka przedstawiciel ministeryum rolnictwa i dóbr państwa, który uczestniczy również z prawem głosu w zebraniach ogólnych członków Kasy.

Rypin. Powstało w tem mieście Towarzystwo kredytowe. Do zarządu wybrano pp. Rudowskiego (na prezesa), rejenta Żochowskiego i dr. Cholewińskiego, na kandydatów: pp. Grabskiego ze Stempowa i rejenta Gralewskiego; do komisyi rewizyjnej: pp. J. Grodzińskiego, Z. Piwnickiego i Traczyńskiego; *maximum* kredytu dla członka oznaczono na 300 rb, wkłady mogą wynosić od 5 do 1,000 rb. Od wkładów Towarzystwo płacić będzie: od rocznych 5½%, od sześciomiesięcznych [illegible], od krótkoterminowych z dwutygodniowem wypowiedzeniem tylko 2%. Lokal dla biura Towarzystwa ofiarował bezpłatnie p. Żochowski.

— W dalszym ciągu nadesłano na konkurs poetycki *Prawdy* następujące utwory:

[illegible]) Hafciarka—Scherzo.
88) Pierwotni.
89) Pieśń ziemi.
90) Król Popiel.
91) Przez tajgi.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Komitet Kasy literackiej w Warszawie otrzymał pozwolenie na urządzenie pięciu przedstawień amatorskich z uwolnieniem ich od opłaty $1/6$ części na rzecz teatrów rządowych warszawskich.

— *Syn Ot.* donosi, że ministeryum spraw wewnętrznych opracowywa nowe przepisy, zezwalające na otwieranie aptek kobietom, które otrzymały specyalne wykształcenie farmaceutyczne.

Szkoły. Na 2 kursie politechniki warszawskiej jest obecnie 160 studentów, na 1 zaś liczba wakansów wynosi 229. Personel nauczycielski składa się z 8 profesorów zwyczajnych, 1 nadzwyczajnego, 13 wykładających i 6 laborantów; dotąd nie obsadzone są trzy katedry profesorów nadzwyczajnych i 3 wykładających; prócz tego do personelu politechniki należą: inspektor i dwóch pomocników, bibliotekarz i jego pomocnik, referent, buchhalter i ich pomocnicy, trzech pisarzów, dozorca gmachu, lekarz i felczer. W obecnym tymczasowym lokalu politechniki są już urządzone zupełnie: gabinet mechaniki teoretycznej, fizyczny z laboratoryum, botaniczny z laboratoryum, geodezyjny, sala rysunkowa na 250 osób; nadto urządzane są: laboratoryum chemiczne do analiz jakościowych i ilościowych, sala do kreślenia na 200 osób, laboratoryum mechaniki praktycznej, laboratoryum do badania minerałów, gabinet i laboratoryum mineralogiczne, oraz gabinet budownictwa.

— Szkoła techniczna kolei Warsz.-Wiedeńskiej otwiera w listopadzie filię w Skierniewicach dla dzieci służby tam zamieszkałej.

— *Pet. List.* dowiaduje się, że w ciągu świeżo rozpoczętego roku szkolnego we wszystkich czteroklasowych szkołach miejskich wprowadzona będzie, jako przedmiot nieobowiązkowy, nauka języków nowożytnych. Ze względu na zwiększone z tego powodu wydatki, opłata wpisowa podwyższoną będzie o rb. 5 rocznie.

— Przy 3 gimnazyum męskiem, w Warszawie, otwarto równoległą klasę wieczorną kreślenia i rysunków dla robotników zawodowych

— Była uczenica Heleny Budzyńskiej, przełożonej pensyi żeńskiej, złożyła w Schronisku dla nauczycielek 3.000 rb. jako fundusz żelazny, z którego odsetki służyć mają na utrzymanie nauczycielki stypendystki. Pierwszeństwo mają b. uczenice pensyi powyższej.

Koleje i komunikacye. Główny zarząd poczt i telegrafów polecił opracować (ponownie) kosztorys połączenia telefonicznego Łodzi z Warszawą. Pracę tę powierzono p. Jakubowi Jasińskiemu.

— Na niektórych kolejach prywatnych w biurach zarządu wydziałów technicznych służby ruchu pracowali Żydzi w charakterze urzędników etatowych. Po wykupieniu tych kolei przez skarb urzędnicy i oficyaliści starozakonni spadli z etatu, gdyż na mocy postanowienia ministeryalnego na kolejach rządowych Żydzi żadnych posad zajmować nie mogą. Kilku b. urzędników tej kategoryi czyniło starania o przyjęcie ich ponownie na służbę, wszyscy jednak otrzymali odmowę (*Kuryer Warsz.*).

— Zarząd kolei Warszawsko-Petersburskiej biorąc na uwagę, że wielu mieszkańców Warszawy wobec drożyzny mieszkań postanowiło nie opuszczać swych siedzib letnich, wydał polecenie, aby pociągi podmiejskie utrzymane były przez całą [illegible]

Wystawy i zjazdy. Na zjazd ogrodniczy w Petersburgu udają się jako delegaci Towarzystwa ogrodniczego w Warszawie: pp. E. Jankowski, P. Hoser, E. Ciszkiewicz i S. Chełchowski z Chojnowa. Wygłoszą na zjeździe następujące referaty: a) w sekcyi owocarstwa, p. E. Jankowski, referaty własne: „O doborze owoców dla Królestwa Polskiego" i „O jarmarkach owocowych, urządzanych corocznie w Bagateli"; b) w sekcyi warzywniczej, p. E. Ciszkiewicz, referat komisyi warzywniczej: „Dobór warzyw, hodowanych pod Warszawą"; c) w sekcyi spraw ogólnych, p. Jankowski, „O działalności komitetu plantacyjnego," p. E. Ciszkiewicz odczyta referat p. Karczewskiego o działalności ogrodnika objazdowego Towarzystwa, p. Chełkowski referat własny „O środkach w walce przeciwko szkodnikom roślinnym"; d) w sekcyi ogrodnictwa ozdobnego, p. Hoser: „Drzewa i krzewy ozdobne okolic Warszawy."

— Dzienniki rosyjskie piszą o projekcie urządzenia w roku 1904 wystawy powszechnej w Petersburgu.

Przemysł i handel. *Warsz. Dn.*, pisząc o różnych brakach w dotychczasowym systemie ubezpieczania nieruchomości włościańskich, wyraża życzenie, aby każda gmina mogła pozyskać radcę ubezpieczeń, który z początkiem roku objeżdżałby powierzony sobie rewir i wspólnie z właścicielami domów oraz wójtem i pisarzem naradzał się, jakie środki należy przedsięwziąć, aby zabezpieczyć nieruchomości od ognia.

— Organ ministeryum rolnictwa ogłosił statystykę towarzystw rolniczych, powstałych w r. b. Nowych stowarzyszeń ogólno-rolniczych przybyło 31. specyalnych 11. Największa ilość przypada na gubernie Nadbałtyckie. W dziale towarzystw ogólno-rolniczych figuruje tylko jedno w Królestwie: Towarzystwo rolnicze kieleckie. W grupie drugiej towarzystw specyalnych są: 2 ogrodnicze, 1 leśne. 6 pszczelarskich (w tej liczbie 3 w gub. Liflandzkiej), 1 hodowlano-rybackie i 1 krzewienia wiadomości gospodarczych wśród kobiet. W tym drugim dziale niema Królestwa Polskiego.

— Bank państwa podaje do wiadomości publicznej, że na przyszłość zaprowadził poniższy sposób uskuteczniania przekazów pieniężnych, zwykłych i telegraficznych, za pośrednictwem kas rządowych, na sumy wyższe, niż 5,000 rb. Przekazy takie, wysłane przez kasy rządowe, realizowane będą natychmiast w Banku państwa lub w kasach rządowych, jeżeli odbiorca znany jest instytucyi; w przeciwnym razie porozumiewa się ona telegraficznie z kasą rządową, która wysłała przekaz i dopiero po otrzymaniu potwierdzenia wypłaca pieniądze. Sposób wypłacenia przekazów, przyjętych przez kasy na sumę do 5,000 jako też przekazów na wszelką sumę, przyjętych przez kantory i oddziały Banku państwa, pozostaje niezmieniony.

Katastrofy kolejowe. W d. 23 b. m. nad ranem na linii wojskowej, prowadzącej od stacyi Lublin kolei Nadwiślańskiej do Bychawy, pociąg roboczy, naładowany relsami, (20 wiorst od Lublina) przerwał się na spadku, skutkiem czego część wagonów urwanych potoczyła się w przeciwną stronę i wpadła na żołnierzy pułku bielańskiego, pracujących na plancie. Trzech zabitych, dziesięciu ciężko poranionych, 25 lżej. Wypadek ten wydarzył się w czasie mgły rannej, która zasłoniła zbliżające się wagony.

Zmarli. Antoni Lorkiewicz, nauczyciel gimnazyum w Stanisławowie (Galicya). Napisał kilka utworów treści poważnej, między innymi „Historyę buntu gdańskiego w r. 1525." Razem z profesorem Liskem ogłosił w *Monumenta Poloniae* kronikę łacińską bernardyna Jana z Komorowa

Odpowiedzi Redakcyi.

Anicetta. Taki prosty opis wypadku w liście lub rozmowie towarzyskiej byłby bardzo dobry, ale jako utwór literacki nie posiada cech artyzmu.

Stałemu prenumeratorowi. Nie możemy udzielać odpowiedzi, do której upoważnionym jest tylko komitet konkursowy.

Pani K. M. w S Ponieważ osoby są historyczne, więc muszą się powtarzać u obu autorek. Ani ten wzgląd, ani inne podobieństwa nie odejmują utworowi Z. cech oryginalności.

Miser. Tren Pański nie wzniósł się od skargi osobistej do utworu artystycznego.

Samoukowi. Czytanie autorów wzorowych, a między innymi Heinego, jest bardzo dobrym sposobem uczenia się języka. Niech więc Pan tej drogi nie porzuca.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dokończenie tomu II-go dzieła S. Maksimowa p. t. **Syberya i ciężkie roboty**

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo Hipolita Wawelberga:

„Biblioteka Przemysłowa."

BALL ROBERT 3. **Mechanika doświadczalna.** Z 2-go wydania ang. przełożył *St. Kramsztyk*. 103 rysunki w tekście 1.—

BRAUSSER P. i SPENNRATH A. **Podręcznik dla palaczy kotłowych.** Przetł. i uzup. *dr. Felicyan Łaszczyński*. 53 rysunk. w tekście —.60

JAKUBOWICZ STAN. inż. **Zarys przędzenia wełny czesankowej.** 21 rysunków w tekście —.40

JAMIESON A. **Zasady magnetyzmu i elektryczności**, uzupeł. przez dr. J. Kollerta, przeł. z ang *St. Stetkiewicz.* **Tom I-szy**, z liczn. rysunk. w tekście, rb. 1.25, w opr. karton. rb. 1.35. **Tom II-gi**, z liczn. rys. rb 1, w opr. 1.10.

LAUENSTEIN M. inż. **Podręcznik mechaniki dla średnich szkół technicznych i samouków.** Przełożył *Józef Hofman*, inż. 141 rysunk. w tekście, rb. 1.10, w oprawie karton 1.20

LIECKFELD G. **Wskazówki praktyczne o motorach gazowych.** Rady i wskazówki, któremi kierować się należy przy zakupie, ocenianiu i obchodzeniu się z motorami gazowymi. Z 33 rysunk. w tekście. Przekład z niemieckiego pod redakcyą inż. Emila Schoenfelda, z dodaniem opisu budowy motorów. Kartonowane —.65

PRZYSZYCHOWSKI FELICYAN. **Słownik polsko-rosyjsko-niemiecki terminów garbarskich** —.15

SCHOLL E. F. **Przewodnik dla maszynistów**, tłom. *Al. Podworski*, inż.-technik. **Część I**, z 380 rys. w tek., rb. 1.50. **Część II**, z 179 rys. w tek. 1.20

STRASZEWICZ ZYGM. **Światło elektryczne.** Urządzenie i działanie instalacyj prywatnych o prądzie stałym. Przewodnik dla monterów, maszynistów i właścicieli instalacyj elektrycznych. 146 rysunk. w tekście, w oprawie kart. 1.20

WAWRYKIEWICZ EDW **Nauka rysunków** Wskazówki praktyczne wykonywania rysunków technicznych. Z 29 rysunkami w tekście i 9 tablicami chromolitografowanemi, w opr. karton (nowe wydanie w druku) —.75

Skład główny w księgarni **Gebethnera i Wolffa** w Warszawie.

Cytra zagraniczna (fabryki Schönbacha) do sprzedania z ładnem pudełkiem za 25 rb. Sienna 33, m. 4, od 5-ej do 7-ej.

Czytelnia Naukowa.

62, Nowy Świat 62.

Najnowsze dzieła naukowe z dziedziny umiejętności przyrodniczych i humanistycznych (ze szczególnem uwzględnieniem nauk społecznych). — 150 czasopism we wszystkich językach. Encyklopedye i Słowniki

Warunki możliwie przystępne.

Nowourządzony zakład fotograficzny

p. f. W. TWARDZICKI

przeniesiony z Niecałej 12 na **Nowy Świat 46.**

Księgarnia p. f. E. WENDE i Sp. (Krakowskie-Przedm. 9), otrzymała na skład główny

KSIĄŻKĘ ZBIOROWĄ

dla uczczenia 25-letniej działalności

Aleksandra Świętochowskiego

p. t. PRAWDA

złożoną z 88 prac wybitnych pisarzów polskich, z wyczerpującą bibliografią pism, portretem i życiorysem A. Świętochowskiego.

Wydanie wytworne, in 4-o, na papierze welinowym. Str. LXXIX i 525.

Cena rubli **pięć**. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

Rozprawa p. t.:

Poeta jako człowiek pierwotny

przez

Aleksandra Świętochowskiego.

Wydanie wytworne na papierze welinowym, str. 52. Cena rubli trzy na przesyłkę kop. 15.

Skład główny w Administracyi „Prawdy."

PISMA

Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom IV: Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**

Do nabycia w Administracyi *Prawdy.*

Do nabycia w Redakcyi „Prawdy" i w Księgarniach

wydany z zapomogi Kasy Mianowskiego

Poradnik dla Samouków, część II,

(Warszawa, 1899, str. XIII i 695. Cena 80 kop., z przes. poczt. 1 rb. 23 k.),

zawierająca: Językoznawstwo ogólne, język polski, stylistyka, poetyka. krytyka, języki nowożytne, filologia klasyczna, hist. powszechna. hist. polska, hist. literatury powszechnej, hist. literatury polskiej, historya sztuki, hist. nauki, hist. rozwoju społecznego, hist. filozofii, katalog wydań pism najwybitn. 60 autorów polskich. Dopełnienia o nowościach. Pytania samouków i odpowiedzi na nie. Skorowidz nazwisk. — **W opracowaniu** przez *J. Karłowicza, A. Kryńskiego, S. Mieczyńskiego, B Chlebowskiego, J. Chrzanowskiego, P Chmielowskiego. K. Appla, W Osterloffa, H Benniego, M. Rowińskiego. T Korzona, S. Askenazego, J. K. Kochanowskiego, K. Króla, J. Homolickiego, W. Smoleńskiego, E Grabowskiego. J. Matuszewskiego, A Mahrburga, L. Krzywickiego* i przy współudziale osób innych.

LECZNICA DOKTORA TARNAWSKIEGO

w Kosowie, w Galicyi,

we wschodnich Karpatach, otwarta na 30 osób.

Środki: leczenie wodą, dyeta zastosowana według d-ra Lahmanna i inne fizyatryczne.

„GAZETA POLSKA."

Dziennik polityczny, społeczny i literacki, wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich

„Gazeta Polska" daje prenumeratorom swoim **stale**, jako

Bezpłatny Dodatek Tygodniowy:

co tydzień książkę.

W ten sposób każdy prenumerator „Gazety Polskiej" otrzymuje od nas

CORocznie 52 tomy książek.

Wydawnictwo takie odpowiada potrzebom **rodzin**, którym, obok pisma codziennego, stale dostarcza bez kosztu zdrową lekturę książkową, zapoznającą zarówno z ruchem literatury współczesnej, jak z arcydziełami dawniejszej.

Bezpłatny		Bezpłatny
Corocznie 52 TOMY DARMO.		Corocznie 52 TOMY DARMO.
Dodatek.		Dodatek.

Tom tygodniowy dodatku rozsyłany jest **bezpłatnie** wszystkim prenumeratorom, zarówno w Warszawie, jak na prowincyi. Obejmuje dziesięć arkuszy druku i ma za treść co tydzień inny utwór, wybitny, bądź oryginalny, bądź tłomaczony.

Dotychczas, tj. od rozpoczęcia wydawnictwa w październiku roku zeszłego weszły do niego dzieła następujących pisarzy: H. Andersen'a, Józefa Blizińskiego, J. Breton'a, Adolfa Dygasińskiego, J. W. Goethe'go, Artura Gruszeckiego, E. Goncourt'a, Klementyny z Tańskich Hofmanowej, T. T. Jeża, Maryi Konopnickiej, Stanisława Kozłowskiego, Teofila Lenartowicza, Jana Lama, J. Lihe, Ireny Mrozowickiej, Józefata Nowińskiego, Tadeusza Padalicy, St. Pileckiego, E. Rostanda, Marka Twaina, Michała Synoradzkiego, Elizy Orzeszkowej, Klemensa Junoszy, W. Grot Bęczkowskiej, Lorda Byrona, A. K. Smoczyńskiego, Maryi Łopuszańskiej. W wyborze materyału literackiego do naszych dodatków książkowych dopomagają nam pp.:

Zygmunt Gloger, K. Kaszewski i Ign. Matuszewski.

CENA „GAZETY POLSKIEJ" wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym: **W Warszawie:** Rocznie 9.60; półrocznie 4.80; kwartalnie 2.40; miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domów

Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 12; półrocznie rb. 6. Kwartalnie rb. 3

CENA OGŁOSZEŃ w „Gazecie Polskiej:" Za wiersz petitowy lub jego miejsce na czwartej stronie za pierwszy raz kop. 10, za następne po kop. 8. Za wiersz petitowy reklamy na 3 stronie kop. 15. Za wiersz petitowy na pierwszej stronie kop. 30. Nekrologii wiersz kop. 15.

Redaktor i wydawca ***Jan Gadomski.***

Adres: Warszawa, Warecka 14.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Сентября 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.